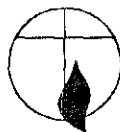


przegląd powszechny

6/874/94

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI - Warszawa

WYDAWCA

Provincia Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ, ks. Ignacy Bokwa, ks. Waldemar Chrostowski,
Grzegorz Dobroczyński SJ, Aniela Dylus, Kazimierz Dziewanowski,
Michał Jagiełło, Piotr Jasiński SJ, ks. Helmut Juros, Andrzej Koprowski SJ,
Wacław Oszejca SJ, Ryszard Otowicz SJ, Krzysztof Renik,
Wojciech Roszkowski, Adriana Szymańska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Jacek Bolewski SJ (red. naczelny)
Zbigniew Kubacki SJ
Maria M. Matusiak

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

OPRACOWANIE TECHNICZNE

Joanna Kwiatkowska

„PRZEGLĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 214
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

za II półrocze 125 000 zł
cena egzemplarza 25 000 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.*

Skład i druk: Drukarnia Przeglądu Powszechnego
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Numer zamknięto 19 V 1994 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów nie zamówionych
i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Spis treści

Szansa pojednania

265

Polska opcja na rzecz Zachodu stwarza dodatkową szansę, byśmy mogli się stać także dla wschodnich sąsiadów łącznikiem na drodze do jedności Europy opartej na fundamencie duchowym.

Nie zaczynaliśmy od zera

267

Rozmowa Michała Jagielly z ministrem-szefem Urzędu Rady Ministrów, Michałem Strąkiem, nawiązując do dyskusji redakcyjnej poświęconej roli samorządów w Polsce (zob. „PP” nr 5/1994). Min. Strąk jest zwolennikiem takiego sposobu postępowania, w którym najpierw dobrze zorganizuje się struktury na poziomie centrum – państwa, a dopiero potem będzie się uruchamiać mechanizmy samorządowe na niższych szczeblach (wojewódzkie, powiatowe). Podkreśla także, że – choć w szczątkowej formie – mechanizmy samorządowe występowały również w okresie PRL, dzięki czemu możliwe było łagodne przejście do budowania ustroju demokracji obywatelskiej.

Gerhard Bartodziej

Mniejszość niemiecka – pomost czy przeszkoda w stosunkach polsko-niemieckich?

277

Pytanie o przyszłość mniejszości niemieckiej w Polsce (około 600-800 tys. osób) pozostaje otwarte. Jest w gruncie rzeczy pytaniem o los polskich przemian i polskiej demokracji. Tylko polsko-niemiecka wspólnota interesów może stabilizować położenie mniejszości niemieckiej. Niemcy w Polsce mogą urzeczywistniać naturalną funkcję pomostu między obydwojma państwami, jeśli otrzymają niezbędne gwarancje i uregulowania prawne.

Manfred Spieker

Wschodnioniemiecki proces transformacji Kościół i społeczeństwo na etapie poszukiwań

293

Kościóły chrześcijańskie w zjednoczonych Niemczech nie tylko powinny wspierać procesy przemian politycznych, gospodarczych i społecznych oraz dokonywać ich oceny krytycznej, lecz muszą także zmienić własne struktury: przejść od Kościoła kleru do Kościoła ludu Bożego z aktywnym udziałem świeckich, od monolitycznej opozycji wobec systemu socjalistycznego do sławienia się zaczynem pluralistycznego społeczeństwa obywatelskiego.

*Anna Czarnecka-Rutka***Christa Wolf i spór o literaturę
w zjednoczonych Niemczech**

307

Spór, jaki rozgorzał w Niemczech po opublikowaniu przez Christę Wolf opowiadania „Was bleibt” („Co pozostanie”) w czerwcu 1990 r., toczy się do dziś i dotyczy nie tylko samego utworu. Stawia pytanie o teoretyczne dziedzictwo zachodnioniemieckich komunistów po załamaniu się socjalizmu i o nową sytuację skompromitowanych intelektualistów lewicowych w dawnej NRD. Dotyczy także związku między etyką a moralnością, a jeszcze szerzej – kondycji zjednoczonych Niemiec.

450 lat po „De revolutionibus”

322

Rozmowa Andrzeja Mareckiego z Wilhelminą Iwanowską, profesorem astronomii UMK w Toruniu. Uczona, urodzona w Wilnie, opowiada o tradycjach Uniwersytetu Stefana Batorego, na którym pracowała przed wojną, o losach tamtejszych naukowców, a następnie o ich powojennej pracy w Toruniu. Drugi wątek rozmowy stanowi osoba i dzieło Kopernika. Rozmówczyni wskazuje na jego całkowite oddanie nauce, połączenie geniuszu z pasją naukową, pracowitością i dbałością o rzetelność. Tłumaczy też doniosłość odkryć Kopernika w świetle współczesnej nauki.

W rocznicę kopernikańskiej rewolucji

334

Andrzej Marecki

Toruńskie spotkanie astrofizyków europejskich (18–21 VIII 1993 r.) było dobrą okazją do dokonania przeglądu najnowszych wyników obserwacyjnych na polu astronomii pozagalaktycznej i kosmologii obserwacyjnej.

**Dlaczego Niemcy nam sprzyjają
(i czy możemy im ufać)?**

340

Kazimierz Dziewanowski

Niemcy popierają ideę przyjęcia Grupy Wyszehradzkiej do Unii Europejskiej, mając na celu m.in. odsunięcie granicy europejskiej dalej na wschód, korzyści gospodarcze oraz chęć silniejszego związania się z całością Europy i Zachodem.

Czarna dziura w polityce

345

Jerzy Gaul

Jakie są przyczyny rewolucyjnych zmian na mapie politycznej współczesnego świata? Co się wydarzyło, że nastąpił dramatyczny i powszechny kryzys zaufania do starej klasy politycznej?

Sztuka

K. Paluch Staszkiel: Nagroda im. Daniela Chodowieckiego 353

(Wystawa polskich artystów grafików i rysowników, Galeria Masztalni przy ASP w Berlinie, wrzesień – październik 1993; Muzeum Historii Miasta Gdańska, grudzień 1993 – styczeń 1994)

Wystawy

J. Bremer SJ: Europejska święta 355

(Wystawa „Księżęta i święci” z okazji 750. rocznicy śmierci św. Jadwigi, Andechs /Niemcy/, lipiec – październik 1993)

Teatr

J. Godlewska: Kraków, Kraków... 359

(Stary Teatr w Krakowie, „Venezia, Venezia” Carla Goldoniego, reżyseria – Giovanni Pampiglione; „Jak wam się podoba” Williama Shakespeare’a, reżyseria – Tadeusz Bradecki)

Film

A. Pietrzak: Angielskie romanse bez pocałunków 361

(„Okrucy dnia” Jamesa Ivory’ego; „Cienista dolina” Richarda Attenborougha)

Książki

A. Szymańska: Mleczna droga 363

(Jan Strzdała, „Szept igły w otwartej żyłce /wiersze zebrane/”; „Pochylone nicbo”)

J. Bolewski SJ: Zrodzony z wody 366

(Zbigniew Chojnowski, „Śniardwy”)

M. Orski: Między Erosem a Thanatosem 368

(Włodzimierz Odojewski, „jedźmy, wracajmy...”)

J. Machnac: Obrona metafizyki 370

(Theo Kobusch, „Die Entdeckung der Person. Metaphysik der Freiheit und modernes Menschenbild”)

Z. Kubacki SJ: Poznać papieża 372

(Jean-Yves Calvez, „L’homme dans le mystère du Christ. Le message de Jean-Paul II”)

s. B. Stencel: Refleksja nad zmartwychwstaniem 374

(Józef Kulisz SJ, „Tęsknota za Nieskończonym”)

Informacje o nowościach wydawniczych 375

Z życia Kościoła 377

Sommaire

Une chance de réconciliation

265

L'option de la Pologne pour l'Occident offre une chance de plus: celle de devenir pour nos voisins de l'est un trait d'union sur le chemin de l'unité d'une Europe assise sur un fondement spirituel.

Nous ne sommes pas repartis à zéro

267

L'entretien de Michał Jagiełło avec le ministre-directeur du Bureau du Conseil des Ministres, Michał Strąk, renoue avec le débat rédactionnel consacré au rôle de l'autogestion des collectivités locales en Pologne (cf. „PP” cahier 5/1994). Le ministre Strąk est partisan d'un mode de procéder axé en premier lieu sur une bonne organisation des structures au niveau central, celui de l'État, phase à faire suivre d'une mise en route de mécanismes autogestionnaires à des niveaux inférieurs (voïvodie, district). Il souligne également que – bien que sous une forme rudimentaire – les mécanismes autogestionnaires s'affirmaient en République Populaire de Pologne, ce qui a permis de passer en douceur à l'édification du système de démocratie civile.

Gerhard Bartodziej

La minorité allemande – un pont ou un obstacle dans les rapports polono-allemands?

277

L'interrogation sur l'avenir de la minorité allemande en Pologne (près de 600 à 800 mille personnes) demeure en suspens. C'est au fond l'interrogation sur le sort des changements en Pologne et de la démocratie polonaise. Seule une communauté d'intérêts germano-polonaise peut stabiliser la situation de la minorité allemande. Les Allemands en Pologne ont la chance de matérialiser la fonction naturelle d'un pont entre les deux pays, s'ils se voient accorder des garanties et des régulations juridiques indispensables.

Manfred Spieker

Le processus est-allemand de transformation L'Église et la société dans la phase d'une quête

293

Les églises chrétiennes dans l'Allemagne réunifiée doivent non seulement soutenir les processus de changements politiques, économiques et sociaux et en

faire une évaluation critique, mais encore changer leurs propres structures: passer d'une Église du clergé à une Église du peuple de Dieu, ce qui suppose une participation active du laïc; passer d'une opposition monolithique au système communiste au rôle de levure d'une société civile pluraliste.

Anna Czarnecka-Rutka

Christa Wolf et la dispute à propos de la littérature dans l'Allemagne réunifiée

307

La dispute déclenchée en Allemagne par le récit „Was bleibt” („Ce qui en restera”) de Christa Wolf se poursuit jusqu'à nos jours et ne porte plus seulement sur l'oeuvre elle-même. Elle pose des interrogations sur l'héritage théorique des communistes ouest-allemands après l'effondrement du „socialisme réel” et sur la situation nouvelle des intellectuels compromis de gauche de l'ex-République Démocratique Allemande. Elle porte aussi sur le rapport entre l'esthétique et la morale et, plus largement – sur la condition de l'Allemagne réunifiée.

450 ans après „De revolutionibus”

322

Entretien avec Wilhelmina Iwanowska, professeur d'astronomie à l'Université Nicolas Copernic de Toruń, recueilli par Andrzej Marecki. Née à Vilno, la savante évoque d'abord les traditions plusieurs fois centenaires de l'Université Étienne Batory de Vilno où elle avait fait ses premiers pas de chercheur avant la guerre de 1939, le sort de ses enseignants et chercheurs, puis de leur activité à l'Université de Toruń où ils se retrouvèrent après la guerre. Le second thème de l'entretien c'est l'oeuvre et la personnalité de Copernic: son dévouement total à la recherche, la conjonction du génie et d'une vraie passion du savoir, l'ardeur au travail, la probité de chercheur. Et aussi la portée des découvertes de Copernic à la lumière des acquis de la science moderne.

Pour l'anniversaire de la révolution copernicienne *par Andrzej Marecki*

334

La réunion à Toruń des astrophysiciens d'Europe (du 18 au 23 août 1993) fut une bonne occasion de passer en revue les résultats d'observation les plus récents dans les domaines de l'astronomie extra-galactique et de la cosmologie d'observation.

**Pourquoi l'Allemagne nous est-elle favorable
(et si nous pouvons avoir la confiance en elle)?**

340

par Kazimierz Dziewanowski

L'Allemagne soutient l'idée de l'accueil du Groupe de Visegrad à l'Union de l'Europe, ayant en vue le recul plus à l'est de la frontière de l'Europe, des profits économiques, et la volonté de se leir plus fortement à l'ensemble de l'Europe et à l'Occident.

Le trou noir en politique

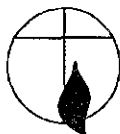
345

par Jerzy Gaul

Quelles sont les causes des changements révolutionnaires sur la carte politique du monde d'aujourd'hui? A quoi tient la crise de confiance dramatique générale envers des vieilles classes politiques?

Comptes rendus

353



Szansa pojednania

Mówiąc o trudnym położeniu Polski myślimy nie tylko o problemach ekonomiczno-społecznych czy o perypetiach życia politycznego w naszym kraju. Dodatkową, a może podstawową trudnością jest położenie na geograficznej i politycznej mapie Europy. Łatwo jest na to narzekać, zwłaszcza na tle naszych doświadczeń historycznych. Jednak narzekanie prowadzi donikąd, zwłaszcza wtedy, gdy przejawia się w zrzucaniu odpowiedzialności za nasz los na innych... Dzisiaj stajemy przed nową szansą. Przypomina o tym K. Dziewanowski w niniejszym numerze. Jest to szansa pojednania. Trzeba się cieszyć rosnącą jednością polskich i zachodnich polityków co do naszego miejsca w jednoczącej się Europie. Nawet jeśli cel pozostaje odległy, istotne jest budowanie drogi w określonym kierunku. Liczy się też pozytywny charakter podejmowanego wyboru. Polska opcja na rzecz Zachodu nie jest skierowana przeciwko naszym pozostałym, głównie wschodnim sąsiadom. Przeciwnie, im bardziej nasi politycy będą potrafili otwierać się w tym duchu (opcji na Zachód) na rozwój relacji z krajami Europy Wschodniej, tym wyraźniejsze stanie się dla wszystkich, że Polska dobrze wypełnia misję związaną ze swym położeniem geopolitycznym – pomostu między Zachodem i Wschodem.

Polskie otwieranie się na Zachód nie jest wolne od obaw. Powodów do nich można znaleźć wiele, zarówno w przeszłości jak i obecnie. Trudno się temu dziwić, skoro na drodze do jedności należy pokonać wiele przeszkód – postaci wielości, które wiążą się z ludzkim grzechem... W tym świetle winniśmy patrzeć także na trudności naszego zachodniego sąsiada – Niemiec. Zjednoczenie, świętowane po zburzeniu muru berlińskiego, nie przyniosło jedności, lecz raczej ujawniło głębokość i zasięg wcześniejszego rozdzielenia. O ile różnice ekonomiczno-polityczne dadzą się przewyciężyć relatywnie szybko, o tyle spustoszenie społeczno-egzystencjalne w byłej NRD jest większym problemem. Zabrakło tutaj najpierw istotnego rozli-

czenia z hitlerowską przeszłością – jeden totalitaryzm został po przegranej wojnie zastąpiony innym. Konsekwencją domino-
wania bezbożnych ideologii jest fakt, że na wschodnich obsza-
rach Niemiec do ateizmu przyznaje się więcej ludzi niż w ja-
kimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej (por. artykuł
M. Spiekera). Ideowa pustka okazuje się podatnym miejscem
dla agresji i przemocy – zorganizowanych przejawów bezsensu,
frustracji. W samym Berlinie, który już wcześniej był najwy-
mowniejszym symbolem rozdarcia Niemiec, tendencje nihilisty-
czno-anarchistyczne stają się coraz silniejsze także w dziedzinie
kultury. Np. punkt ciężkości życia teatralnego przeniósł się do
wschodniej części miasta, gdzie z najpopularniejszej sceny
(Volksbühne) proponuje się *anarchistyczny dynamit jako le-
karstwo na kryzys duchowy* („Dialog” 3/1994, s. 79).

Jednak nie to, co niepokoi, jest najważniejsze. Nie bagateli-
zując przejawów negatywnych, nie należy ich też demonizować.
Naszą uwagę winny raczej przyciągać elementy dobra, których
nie brakuje, owszem, jest więcej, choć dostrzeżenie ich wymaga
prawdziwie otwartej postawy, wolnej od wszelkich uprzedzeń.
Czy właśnie taka postawa, zasługująca na miano pojednawczej,
nie powinna się stać pierwszym i najważniejszym elementem na
drodze do pojednania? Wzrastanie w niej jest potrzebne nie
tylko na zewnątrz, w ocenie trudności naszych zachodnich
sąsiadów. Chodzi przecież o spojrzenie, które winno obejmować
wszystko – także nasze wewnętrzne problemy. Skoro w tym
numerze „PP” skupiamy uwagę na relacji do Niemiec – Niem-
ców, to nasze pojednawcze spojrzenie musi objąć ich najbliższą
obecność – w Polsce (por. artykuł senatora G. Bartodzieja).
Wiele możemy nauczyć się od siebie. Dlatego ważne są inicja-
tywy, służące wzajemnemu zbliżeniu-poznaniu. Dobrym przy-
kładem może być wydawane w Olsztynie pismo „Borussia”,
które zgodnie ze swą nazwą służy zgłębianiu dziedzictwa Prus,
nie tylko Wschodnich, w polskiej kulturze. Na uwagę zasługuje
sformułowana w numerze 7/1993 propozycja polsko-niemieckie-
go synodu pastoralnego, aby nasza jedność „w środku Europy”
opierała się na fundamencie duchowym (s. 26). Może to być
dodatkową szansą na drodze ku prawdziwej jedności – w NA-
SZEJ Europie.

J.B.

Nie zaczynaliśmy od zera

Z Michałem Strąkiem,
ministrem-szefem Urzędu Rady Ministrów,
rozmawia Michał Jagiełło

— *Panie Ministrze, od jakiegoś czasu obserwuje Pan życie społeczne nie tylko z pozycji badacza, ale i z pozycji uczestnika. Jest Pan socjologiem, społecznikiem, politykiem, w tej chwili człowiekiem, który urzęduje wysoko i w szczególnie usytuowanym gabinecie. Z Pana publikacji i rozmów osobistych z Panem wiem, że zawsze doceniał Pan społeczności lokalne. Czy zmieniło się Pana widzenie roli społeczności lokalnych, odkąd musi Pan uwzględniać interes całego kraju i jest Pan szefem administracji państwowej?*

— *Zmieniło się w tym sensie, że mam możliwość spojrzenia na to, co się dzieje w społecznościach lokalnych, nie tylko z perspektywy społecznej, ale również z perspektywy systemu władzy. Znaczy to, że zanim się tutaj znalazłem, nie byłem dostatecznie wprowadzony w to, co się dzieje w układach lokalnych, myślę tu przede wszystkim o samorządzie terytorialnym. Przedtem z bliska obserwowałem to, co jest samorządem spółdzielczym, gdy ze Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wyodrębniała się ta spółdzielnia, której członkiem obecnie jestem. Spółdzielczość mieszkaniowa jest dobrym przykładem takiego samorządu. Natomiast samorząd terytorialny oglądałem trochę z boku, z większego oddalenia. Rola, w jakiej się tutaj znalazłem, zmusiła mnie do bardzo szybkiego nauczania się, na czym polega fenomen samorządu terytorialnego i jakie rodzi on wewnętrzne problemy, konflikty itd.*

— *Jakie jest miejsce samorządu terytorialnego w Pana wizji Rzeczypospolitej Polskiej? Pytam wprost dlatego, że na poziomie ogólników wszyscy mówimy: bez samorządu nie da się*

zbudować społeczeństwa obywatelskiego. Problemy się pojawiają, gdy próbujemy konkretyzować, co to znaczy z punktu widzenia interesu państwa.

— Państwo musi być zorganizowane na kilku piętach. Najwyższe to jest usytuowanie państwa w strukturach międzynarodowych. Dalej jest poziom ogólnopaństwowy: sterowanie, kierowanie procesami, które zachodzą w skali całego kraju. Następnie jest poziom, który można by nazwać średnim, u nas jest to województwo. Poniżej średniego jest rejon, powiat; jeszcze niżej – gmina, potem sołectwo, czyli społeczność lokalna typu wieś. W moim przekonaniu, żeby odpowiedzieć na pytanie o miejsce samorządu terytorialnego, trzeba analizować każdy z tych poziomów oddzielnie.

Można powiedzieć, że problemów związanych z usytuowaniem Polski w strukturach międzynarodowych w ogóle nie da się rozwiązać. W skali państwa mamy swoisty typ samorządu, ale to jest samorząd, który wyraźnie wyodrębnia władzę ustawodawczą i wykonawczą. Można powiedzieć, że te władze też są samorządowe, ponieważ wybory dokonują się zgodnie z regułami samorządności. Jeżeli natomiast zejdziemy na poziom województwa, to w tej chwili mamy tu samorząd w bardzo, bardzo ograniczonym zakresie. O samorządzie powiatowym dyskutuje się. Najsilniej rozwinięty jest samorząd na poziomie gminy, miasta, osiedla mieszkaniowego.

W moim przekonaniu – i chwala tym, którzy w 1990 r. podejmowali taką decyzję – samorząd dość dobrze przylega do rządzenia państwem na poziomie gminy i osiedla mieszkaniowego. To jest skala spraw, które mogą być skutecznie rozwiązywane za pomocą struktur władzy wyłanianej przez mechanizmy samorządowe. Natomiast w obecnej fazie nie ma jeszcze warunków – tu jest zasadnicza kontrowersja między poglądem, który prezentuję, a poglądem, który dominował do niedawna – do tego, żeby stworzyć i uruchomić mechanizmy na poziomie powiatu i województwa, ponieważ, w moim przekonaniu, za słabo są zorganizowane struktury na poziomie centrum. Możliwe byłyby tu dwa podejścia: jedno – że najpierw uruchomimy mechanizmy samorządowe poniżej centrali i gdy je zorganizuje-

my, ich wynikiem będzie struktura, zakres kompetencji organów centralnych; i drugie, którego jestem zwolennikiem – że musimy się najpierw dobrze zorganizować jako państwo i dopiero wtedy możemy uruchamiać mechanizmy samorządowe na niższych szczeblach. Nie rozstrzygałbym teraz kwestii, czy np. na poziomie województwa mechanizm samorządowy jest nam potrzebny, czy nie. Z różnych względów bałbym się budowania obecnie struktur samorządowych na poziomie województw.

— *Czyli chodzi o porządkowanie pracy Centrum, szeroko rozumianej administracji rządowej, i wzmacnianie samorządu terytorialnego na poziomie gmin.*

— Każde państwo, żeby mogło funkcjonować, musi uruchomić i zgrać ze sobą mechanizmy dwojakiego rodzaju: z jednej strony mechanizmy scalające całą strukturę państwową, przesądzającą o tym, że to jest jedna struktura, która się rządzi jednolitymi prawami, i z drugiej strony – mechanizmy dywersyfikujące to państwo, tzn. powodujące, że struktury władzy są dostosowane do warunków lokalnych.

W moim przekonaniu nasze doświadczenia z okresu i świetności, i upadku Rzeczypospolitej, pokazują, że w XVII i XVIII w. nie potrafiliśmy tego sprząć, tzn. potrafiliśmy uruchomić mechanizmy dywersyfikujące, czyli właśnie samorządność lokalną, natomiast przez wiele lat w ogóle nie było szans na uruchomienie mechanizmów scalających, tzn. silnej władzy centralnej. Kiedy zaczęliśmy je tworzyć, przez Konstytucję 3 Maja i wszystko, co jej towarzyszyło, skasowano nas jako państwo. To jest według mnie nasze wielkie doświadczenie historyczne. Polska jest jednym z niewielu krajów, które prawie na własne życzenie przeszły od potęgi na skalę europejską do niebytu. Zadecydowało o tym to, że nie potrafiliśmy się zorganizować w strukturach państwowych, centralnych. Działały bardzo silne mechanizmy dywersyfikujące, natomiast zupełnie nie działały mechanizmy scalające.

Teraz jesteśmy w punkcie, w którym trzeba sobie zdać z tego sprawę. Jeżeli będziemy wartościowali dodatnio jedynie mechanizm samorządowy, czyli ten, który dywersyfikuje układ, bo

jego siła tkwi w tym, że lepiej przylega on do warunków lokalnych, natomiast nie uruchomimy mechanizmów scalających, to Polska może mieć sporo kłopotów.

— *Nie oznacza to hamowania wzmacniania samorządów lokalnych.*

— Absolutnie. Uważam, że samorząd na poziomie gminy może i powinien się rozwijać, ponieważ nie jest to mechanizm dywersyfikujący, który mógłby rozsądzać strukturę państwa.

— *Bywa dość często tak, że samorząd traktuje się abstrakcyjnie jako dobro samo w sobie. Osobiście jestem gorącym zwolennikiem samorządów na poziomie gmin i wbrew temu, co wciąż twierdzi część ludzi ze środowisk kultury, uważam, że samorządy i w tej dziedzinie, jako dobrodzieje kultury, generalnie rzecz biorąc zdały egzamin. Natomiast wydaje się, że istnieje dość znaczna różnica między skutecznością samorządu w Wiśle czy Strzyżowie, czy nawet w Białymstoku, a wydolnością samorządów w wielkich miastach. To jest zresztą odrębny problem.*

— Niestety jest to, że ideologami samorządności w Polsce stali się w pewnej fazie prezydenci największych miast, czyli działacze samorządowi w środowiskach, w których samorządność ma właściwie bardzo małe znaczenie. Nie występuje tu istota samorządności – bezpośrednia znajomość podmiotu władzy. W klasycznej strukturze samorządowej wszyscy wszystkich znają, oczywiście nie w sensie dosłownym, ale w każdym razie wybierani są w zasięgu ręki, natomiast gdy chodzi o prezydenta wielkiego miasta, właściwie nie ma znaczenia, czy jest on wyłoniony w wyborach, czy mianowany przez premiera. Potwierdzają to losy ustawy warszawskiej. Próby walki z nią pod hasłami obrony samorządności spaliły na panewce. Akcja przeciwko tej ustawie nie zyskała szerszego odzewu. Ludzie patrzyli na tę ustawę raczej z punktu widzenia sprawności rządzenia, tzn. czy ona stwarza warunki do lepszego rządzenia, czy nie.

— *Pocieszający jest fakt, że reforma samorządowa na poziomie gmin, generalnie rzecz biorąc, udała się i że bardzo wielu ludzi zaczyna się identyfikować ze swoją społecznością lokalną. Znacznie łatwiej jest to osiągnąć na poziomie Miechowa czy nawet Zakopanego, znacznie trudniej na poziomie Warszawy czy Łodzi.*

— W tym miejscu powiedziałbym coś dobrego o PRL. Zmiana ustrojowa jest oczywista, ale jeżeli przyjrzyć się mechanizmom, które rządziły życiem społecznym czy politycznym na poziomie gminy, okaże się, że były one – choć w mniejszym lub większym stopniu sterowane – także samorządowe. Przecież prezesa GS-u ludzie jakoś wybierali. Oczywiście, czynnik polityczny miał wpływ, ale jeśli ktoś całkowicie rozmiął się ze społecznością lokalną, to tej funkcji nie pełnił. Taki mechanizm występuje nawet w Kościele, mimo że jest to struktura scentralizowana. Jeśli jednak dochodzi do faktycznego i głębokiego konfliktu między parafią a proboszczem, zawsze dostosowuje się proboszcza do parafian, a nie odwrotnie. Mechanizmy samorządowe zatem występowały. Największa zmiana dokonała się w dwóch sferach: po pierwsze – nie ma już tej struktury, która mniej lub bardziej otwarcie narzucała pewne kandydatury, po drugie – zwiększyła się swoboda w gospodarowaniu pieniędzmi. To są te elementy, które różnią obecny samorząd terytorialny od tego, co było wcześniej. Natomiast na pewno Polska nie była krajem o wyłącznie scentralizowanych strukturach, nie podlegających wpływowi układów lokalnych. Kółka rolnicze, GS-y były instytucjami samorządowymi. Istniała świadomość niedoskonałości takiego samorządu i kiedy powstały warunki, zmieniono to. Akurat na poziomie lokalnym przejście między starymi a nowymi czasy nie było takie brutalne.

— *To prawda, Panie Ministrze, ale pozwolę sobie na komentarz, że – zresztą Pan użył tego określenia – nastąpiła jednak zmiana jakościowa. W PRL były liczne, nazwijmy to tak, ciągi samorządowe. Pamiętam z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Zrzeszenie Studentów Polskich w Krakowie, które*

było, jak na owe czasy, niemal samorządną organizacją społeczną. Ale przecież...

— Ja działałem w Kole Naukowym Polonistów w latach sześćdziesiątych, na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy absolutnie demokratyczne wybory szefów tego Koła, studenci demokratycznie decydowali, który asystent pojedzie z nimi na sympozja naukowe itd. Istniały zatem enklawy demokracji, choć oczywiście były to tylko obszary peryferyjne.

— *Właśnie to chciałem usłyszeć...*

— To jest tak jak z rynkiem. W Polsce przetrwał wolny rynek, bo zawsze istniały targowiska i zawsze była cena przybijana z ręki do ręki, ale to nie targowiska decydowały o tym, co się działo w gospodarce. Jednak przechowanie takich instytucji trzeba zapisać na plus tym, którzy wtedy Polską rządili. Zaś przechowanie instytucji wolnorynkowych i demokratycznych na pewno ułatwiło nam wejście w nowy okres. Jeżeli mówi się, że Polska stanowi przykład płynnego przejścia, jest pewnym wzorcem dla innych krajów, to jest to możliwe właśnie dlatego, że nie zaczynaliśmy od zera. To, co było peryferyjne, przeszło do centrum, a to, co przedtem było w centrum, zeszło na peryferie albo w ogóle zniknęło. To jest istota rewolucji, która się dokonała w Polsce. Mieliśmy ustawy o spółkach, np. prawo handlowe. Gdy 10 lat temu zajrzałem do prawa handlowego, przeżyłem szok, że jest jeszcze takie prawodawstwo, bo to była ustawa, która regulowała działalność dwóch czy trzech spółek, jakie istniały w okresie PRL. Obecnie jest to podstawowy akt prawny, czyli z peryferyjnego stał się on centralnym.

— *Jest nam łatwiej niż Białorusinom, Ukraińcom czy Rosjanom m.in. dlatego, że w poprzednim systemie istniała pewna siatka, umożliwiająca praktykowanie samorządności na niższych szczeblach czy też jakichś pobocznych obszarach.*

— Myślę, że można także podać przykłady stricte polityczne. W pierwszej chwili po wyborach, kiedy się okazało, że PSL i SLD zdobyły dominującą pozycję, mogło powstać wrażenie,

na podstawie doświadczeń ogólnokrajowych, że PSL będzie chodziło na pasku SLD. Jednak ci, którzy znali relację pomiędzy strukturami PZPR i ZSL w tamtym okresie, relację na dole, doskonale wiedzieli, że to był układ partnerski albo nawet konfliktowy. Czyli system wielopartyjny w wydaniu działaczy centralnych był systemem pseudowielopartyjnym, a w każdym razie wielopartyjność sprowadzała się do zjawisk marginalnych. W układzie lokalnym był to system wielopartyjny, zderzały się tam różne wzorce osobowe, kulturowe, różny był stosunek do religii i Kościoła.

— *Najważniejsza w tym wszystkim jest zmiana jakościowa: enklawy stały się twardą ziemią i kontynentem; to, co było ledwie tolerowane, staje się fundamentem tworzenia demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego. Panie Ministrze, Pan wielokrotnie trafnie przewidział pewne reakcje naszego społeczeństwa i nie tylko społeczeństwa. Na przykład trafnie przewidział Pan zachowanie pana prezydenta w sprawie budżetu – wszem wobec twierdził Pan, że pan prezydent podpisze budżet, i dzisiaj podpisał; miał Pan hipotezę, że ordynacji wyborczej nie podpisze, i tak się stało. To ważna umiejętność. Czy odważyłby się Pan dzisiaj prognozować, jak będzie po wyborach samorządowych? I co się stanie, jeśli wybory do samorządów zostaną zlekceważone, powiedzmy, przez zdecydowaną większość uprawnionych do głosowania?*

— Jeśli idzie o frekwencję, nie chcę konstruować hipotez. Ukazujące się badania dość dobrze diagnozują sytuację i na tej podstawie można snuć pewne scenariusze. Myślę, że frekwencja będzie około 60%, bo taki jest odsetek zainteresowanych wyborem władzy ogólnokrajowej bądź lokalnej. Dla pozostałych 40% ten problem nie istnieje. Co do wyniku, myślę, że dobrze prognozuje CBOS, które przewiduje, że trzydzieści parę procent będzie głosowało na partie koalicyjne, drugie tyle na komitety społeczne organizujące się wokół lokalnych liderów (myślę, że takie komitety zorganizuje sobie wielu burmistrzów i wójtów), zaś zainteresowanie partiami opozycyjnymi. tzn. Unią Demokratyczną, Unią Pracy, będzie na poziomie 10-15%. Jeżeli przyjąć,

że PSL i SLD w różnych środowiskach będą zgarniały głosy, to PSL potwierdzi swój wynik z wyborów do Sejmu, czyli na wsi dostanie około 30% głosów. Będą więc takie gminy, gdzie będziemy mieli wyraźną przewagę i takie, gdzie będziemy słabsi. Generalnie wybory samorządowe potwierdzą istniejący układ sił. Natomiast nie ma już takiej dziecięcej wiary w to, że nowy rząd czy nowa koalicja wszystko rozwiąże. Jednak generalnie nie ma też dowodów na to, że koalicja zupełnie błędzi. Myślę, że ci, którzy głosowali na tę koalicję w wyborach do Sejmu, znacznie rzadziej mówią o tym, że rząd zdradził ideały przedwyborcze, niż ci, którzy na nas nie głosowali. Nasz program wyborczy weryfikują dziś ci, którzy głosowali na inne partie.

— *Czy zgodziłby się Pan z tezą, że najgorszym scenariuszem dla Polski byłaby frekwencja wyborcza na poziomie 20%?*

— To jest scenariusz, którego w ogóle nie biorę pod uwagę. Kontaktuję się z różnymi ludźmi i z sygnałów, jakie otrzymuję, wynika, że obecnie zainteresowanie wyborami samorządowymi jest większe niż poprzednio. Ludzie przekonali się, i to w różnych środowiskach, że można wybrać władzę i że ten, kto ma władzę, ma istotne znaczenie. Ta władza nie boi się podejmować decyzji, a w układach lokalnych są one dla jednych lepsze, dla innych – gorsze. Można więc być tak, że w skali gminy czy miasta wybory samorządowe będą znacznie ważniejszym wydarzeniem politycznym niż wybory do Sejmu. Mogą też im towarzyszyć napięcia i konflikty. Rozmawiałem np. z szefami regionalnych izb obrachunkowych, zastanawiając się, czy publikować teraz wyniki ich kontroli. Wspólnie postanowiliśmy tego nie robić, ponieważ mógłby to być atrakcyjny instrument w walce wyborczej.

— *Mówiąc o samorządach siłą rzeczy mówimy o społecznościach lokalnych. Jeśli rzetelnie traktuje się tę kwestię, to czy się to komuś podoba, czy nie, trzeba uwzględniać elementy obyczaju, tradycji, a zatem i religii. To jest społeczne abecadło. Dla mnie jest oczywiste, że PSL liczy się z tymi faktami, ale czy nie obawia się Pan powiększającej się szczeliny pomiędzy PSL*

a SLD na tle rozumienia czy umiejscowienia Kościoła, szerzej – religii, w życiu społecznym i politycznym kraju?

— Nie, bo przede wszystkim, jeśli Pan mówi „szczeliny”, to znaczy że Pan zakłada, iż była zwarta konstrukcja, a teraz pojawia się szczelina...

— *Źle powiedziałem. Chodzi mi o powiększające się różnice.*

— Nie ma mowy o szczelinie, to jest wielki rozstęp, z którego obie strony zdają sobie sprawę. Nie chcę twierdzić, że PSL jest partią związaną ze światopoglądem religijnym, nie o to chodzi, natomiast myślę, że PSL bardzo dobrze rozumie rolę i miejsce Kościoła w życiu wsi i kraju.

— *Ruch ludowy przed wojną, nawet jeśli okresowo buntował się przeciwko niektórym hierarchom, to przecież nigdy nie przeszedł na pozycję doktrynalnie antykościelną.*

— Nie. A to dlatego, że ruch ludowy jest związany z chłopami, natomiast chłopci są, jacy są, czyli zaplecze społeczne narzuca pewne wzorce ideowe i wzorce zachowań politycznych. Wizyta pana Oleksego w Częstochowie jest wydarzeniem, natomiast wizyta jakiegokolwiek działacza PSL w tym samym miejscu wydarzeniem nie jest. To wynika z tradycji, ale taka też była myśl polityczna PSL, kiedy szefostwo przeszło w ręce prezesa Pawlaka – żeby PSL było partią przystającą do różnych struktur. To jest siła polityczna, która może się obracać w różne strony i niezależnie od tego zachowuje tożsamość.

— *A zatem stosunek do Kościoła, mówiąc najogólniej, nie stanie się tym detonatorem rozwalającym koalicję rządzącą?*

— Nie, to w ogóle nie wchodzi w grę, nie trzeba było nawet o tym mówić. Tylko niesamodzielne ZSL mogło się poddawać tego rodzaju presji, a i to tylko w aparacie etatowym, który był poddany pewnym operacjom, nazwijmy to, laicyzacyjnym. Myślę, że wielu członków ZSL znalazło się w tej partii m.in. dlatego, że nie interesowała się ona tym, czy ktoś bierze ślub kościelny, czy nie, czy posyła dzieci do kościoła, czy przyjmuje

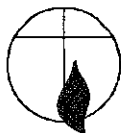
księdza po kolędzie. To była sfera autonomii. Na Grzybowskiej wiecznie był taki problem, czy sztandary ZSL mogą być prezentowane podczas kościelnych pogrzebów. Ostrość tej dyskusji świadczyła, że wiele tych sztandarów można było tam zobaczyć. Uważam, że istnieje tu symbioza i autonomia. To w ogóle jest istota wzajemnych relacji.

— *Życzę Panu, aby mimo ogromu bieżących obowiązków potrafił Pan zachować zdolność do refleksji wybiegającej i poza ten gabinet, i poza czysto polityczne sprawy.*

— Dziękuję. Myślę, że w ogóle inaczej się nie da. Każda rola, którą odgrywamy, daje nam inny materiał do myślenia, i jeżeli ktoś ma jakąś tam zdolność myślenia, w każdej roli analizuje inne elementy, rozwiązuje inne łamigłówki, natomiast sama zasada czy przymus myślenia występuje wszędzie. Także ja mam nadzieję, że w tej roli nie zabraknie mi zdolności do samodzielnego myślenia i analizowania.

— *Dziękuję bardzo za rozmowę.*

Warszawa, 12 IV 1994 r.



Gerhard Bartodziej

Mniejszość niemiecka – pomost czy przeszkoda w stosunkach polsko-niemieckich?*

Trudne pytanie

Tak sformułowane pytanie dotyczy bardzo złożonego problemu. Nie można uniknąć odwołania się do historii, zarówno czasów dość odległych jak i ostatniego okresu stosunków polsko-niemieckich.

Zdecydowana większość osób należących do mniejszości niemieckiej mieszka na Górnym Śląsku. Trzeba zatem odwołać się do historii Śląska, aby zrozumieć uwarunkowania obecności niemieckiej we współczesnej Polsce. Tysiącletnią historię Śląska kształtowały wpływy czeskie, niemieckie, austriackie i polskie. Obecnie obszar ten przeżywa swój szósty okres historyczny, okres państwowości polskiej na przeważającej części terytorium Śląska „geograficznego”. Część geograficznie definiowanego Śląska leży również na obszarze dzisiejszego Landu Saksonii, część zaś należy do Czech i Słowacji. Niewiele krain czy regionów w Europie, używając nowej terminologii, miało tak skomplikowaną i trudną

* Zaktualizowana w styczniu 1994 r. wersja referatu wygłoszonego w Państwowym Instytucie Spraw Międzynarodowych 19 II 1993 r., a opublikowanego w kwartalniku „Śląsk Opolski” nr 1/1993.

historię jak Śląsk. Echa tej historii kształtują jego dzisiejsze oblicze.

Znajomość tej historii w naszym społeczeństwie jest znikoma. Poza zawodowymi historykami, ludność żyjąca dziś na Śląsku w niewielkim stopniu zna prawdziwą przeszłość tej ziemi. Dla wielu historia Śląska zaczęła się dopiero po 1945 r. W XX w. każde pokolenie, a właściwie władze rządzące na Śląsku pisały jego historię od nowa, na tzw. zamówienie społeczne. Mozaika kultur, struktur i zdarzeń w historii Śląska jest zaś tak bogata, że wystarczają nawet proste przemilczenia, aby każdorazowo można było inaczej pisać jego dzieje.

Nie będąc historykiem, odbieram obraz przeszłości widziany przez zapisy historyczne – subiektywnie i zapewne wybiórczo. Zdaję sobie sprawę z moich możliwości i ograniczę się do próby zestawienia informacji i kalendarza wydarzeń, które – moim zdaniem – mają znaczenie dla zrozumienia problemów dzisiejszego Śląska, wiążących się z obecnością mniejszości niemieckiej.

Historia Śląska jest mocno sprzężona z historią Polski, Austrii, Niemiec i Czech (odnoszę się tutaj do współczesnych państw). Jego współczesną sytuację określiła w największym stopniu II wojna światowa i jej konsekwencje w postaci umów: jałtańskiej i poczdamskiej. Nastąpiła radykalna i gwałtowna zmiana struktury etnicznej i kulturowej mieszkańców tej ziemi. Do starej kultury, w ramach której żyli Niemcy, Polacy, Żydzi i Morawianie (na południu Śląska), dołączyła – często zajmując dominującą pozycję – kultura przyniesiona tam przez ludzi mieszkających na kresach przedwojennej Rzeczypospolitej. Po II wojnie światowej obszar państwa polskiego został zmieniony. Państwo „przesunięto” na zachód. Odcięcie 180 tys. km² na wschodzie i przyłączenie 104 tys. km² na zachodzie spowodowało włączenie do obszaru państwa polskiego dużej części Śląska, oprócz Pomorza i części Prus Wschodnich. Fakt ten, zarówno jako akt prawny jak i proces, do dziś ma podstawowe znaczenie dla współczesnych dziejów Polski.

Państwo polskie o takim kształcie musiało się wówczas znaleźć w obiektywnym konflikcie z obydwooma państwami niemieckimi, które powstały na gruzach III Rzeszy. Nowe państwo polskie w sposób naturalny musiało ciążyć ku Związkowi Radzieckiemu jako jedynemu gwarantowi status quo. Powstał zatem stan zaprogramowanej i mającej obiektywne podstawy wrogości w stosunku do Niemiec oraz zaprogramowanych „przyjacielskich” stosunków ze Związkiem Sowieckim, pomimo poważnych obciążeń zarówno historycznych jak i wynikających z bieżącej polityki. Zmiany polityczne w Europie Wschodniej, a zwłaszcza w Polsce, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, upadek Związku Sowieckiego naruszyły tę swoistą symetrię wrogości w stosunku do sąsiada na zachodzie i „przyjaźni” w stosunku do sąsiada na wschodzie. Potrzeba innego, nowego ukształtowania stosunków z sąsiadami, ich obrazu w świadomości społecznej, stała się paląca. Pojawił się też w nowym kształcie i wymiarze problem mniejszości niemieckiej w Polsce – problem o szczególnym znaczeniu dla Śląska.

Skąd pochodzi mniejszość niemiecka? – historia i mity

Obecność ludności niemieckiej na obszarach dzisiejszego Śląska ma swoje początki w procesach pokojowego osiedlania przybywających z zachodu chłopów, rzemieślników, mnichów i kupców, procesach zapoczątkowanych już w XII w. przez ówczesnych słowiańskich władców tych obszarów. Zakładanie miast i osad na prawie niemieckim, a także przenoszenie przez osadników nowych metod uprawy roli kształtowały oblicze Śląska. Procesy te były szczególnie intensywne po najazdach tatarskich (po bitwie pod Legnicą). Spotkały się tutaj trzy kultury, które – posługując się odniesieniami współczesnych państwowości na obszarach, gdzie te kultury się tworzyły, i przyjmując język jako wyróżnik –

można umownie i nieściśle nazwać niemiecką, polską i czeską.

Okres pozostawiania Śląska w bezpośrednim władaniu państwa polskiego był krótki. Historię tych związków rozpoczął książę Mieszko I, a zakończył Kazimierz III (Wielki). Obszar Śląska zamieszkiwały w IX w. plemiona słowiańskie, m.in. Ślężanie, Opolanie i Bobrzanie, zależne od Czech. Około 900 r. książę czeski Wratisław I założył miasto Vratislavia (dziś Wrocław). Chrześcijaństwo przynieśli na Śląsk Czesi w II połowie X w. Około 990 r. książę Mieszko I zdobył ziemie nadodrzańskie i włączył biskupstwo wrocławskie do prowincji kościelnej w Gnieźnie. Spory polsko-czeskie o Śląsk zakończyły się w 1137 r. pokojem zawartym w Kłodzku i podziałem Śląska: część północna przypadła Polsce, mniejsza zaś, południowa, pozostała przy Czechach. Wygaśnięcie senioratu polskiego w stosunku do Śląska w 1202 r. sprawiło, że Śląsk stał się formalnie samodzielnym księstwem pod panowaniem Piastów Śląskich. Od II połowy XIII w. wzmacniały się wpływy czeskie i związki poszczególnych książąt śląskich z Czechami. Król Kazimierz III uznał nieodwracalność związków Śląska z Czechami w traktacie zawartym w 1339 r., zrzekając się swoich praw w zamian za zrzeczenie się przez króla Jana Czeskiego praw do korony polskiej. Dynastia Piastów wygasła w Polsce w 1370 r. Ród Piastów Śląskich wygasł w 1675 r., wraz ze śmiercią księcia legnicko-brzeskiego Georga Wilhelma, protestanta spokrewnionego z dynastią Hohenzollernów. Piastowie Śląscy, jako prawowici władcy tych ziem, określili w wiekach XII-XIV dzieje Śląska, wprowadzając osadnictwo niemieckie i wiążąc go z Rzeszą Niemiecką, głównie przez związki z Czechami, przy zachowaniu jednak silnych związków politycznych i gospodarczych z Polską, zwłaszcza w początkowym okresie rozbicia dzielnicowego.

Na Śląsku, podobnie jak na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, w ciągu wieków stapiały się kultury lud-

ności rodzimej i napływowej. To zarówno z niemieckich jak i ze słowiańskich korzeni wyrastała tożsamość ludności zamieszkującej przed ostatnią wojną tę ziemię. Wielowiekowa obecność i pokojowa koegzystencja na obszarze Śląska trzech wyznań: katolicyzmu, luteranizmu i judaizmu, kształtowała tu kulturę. Również ruch husycki zostawił swoje ślady – do czasu ostatniej wojny istniały na Śląsku wsie zamieszkane przez potomków husytów. W wielu śląskich miastach i miasteczkach jeszcze dziś można spotkać stare kościoły ewangelickie i ślady po żydowskich synagogach lub ich ruiny. Katolicyzm dominował we wschodniej części Górnego Śląska, protestantyzm natomiast na Podbeskidziu i Dolnym Śląsku. Proces kształtowania się tej tożsamości na Śląsku trwał aż do I wojny światowej, czego dowodem może być budzenie się w XIX w. świadomości polskiej wśród części katolickiej ludności wiejskiej, szczególnie na obszarze pogranicznym Górnego Śląska. Wymownym wyrazem tego były m.in. powstania śląskie w latach 1919-21.

Znaczna część mieszkańców Śląska czuła się jednak Niemcami. Wyróżniki tej identyfikacji stanowiły wartości kulturowe, system wartości stosowany w życiu codziennym, ze szczególną rolą pracy i ładu społecznego. Był to wynik wielowiekowej przynależności do państw niemieckich. Szczególnie mocne ślady pozostawiło na Śląsku państwo pruskie. Wdrażało ono określony system wartości, zarówno pozytywnych (szacunek dla państwa, prawa i pracy), jak i z dzisiejszego punktu widzenia negatywnych (związanych ze szczególną rolą czynnika militarnego w życiu społeczeństwa i jednostki).

Współczesna historia Śląska jest również obarczona zniekształceniami, wynikającymi z doraźnych potrzeb propagandowych władz rządzących na tym obszarze. To w XX w. został ukształtowany mit, wprowadzający znak równości między piastowskimi książętami śląskimi a polsnością całego Śląska jako krainy gospodarczej. Do dziś w wielu publikacjach dotyczących przeszłości Ślą-

ska są eksponowane prawie wyłącznie wątki polskie, a przemilczane niemieckie, które w ciągu wieków niekiedy zdecydowanie dominowały na tym obszarze. Jedynie północne i wschodnie pogranicze Śląska było w XX w. pograniczem kulturowym niemiecko-polskim. Powstania śląskie po I wojnie światowej dotyczyły właśnie tego pogranicza, nie zaś tożsamości ludności zamieszkującej Śląsk. Po powstaniach nastąpiły przemieszczania ludności w obu kierunkach: ludności o tożsamości polskiej – na obszar polskiej części Górnego Śląska i odwrotnie, ludności o tożsamości niemieckiej – z polskiej części Górnego Śląska do części pozostającej w państwie niemieckim. Przemieszczenia te dotyczyły około 100 tys. osób.

Przywracanie podstawowych swobód w Polsce w wyniku zwycięstwa „Solidarności” w 1989 r. pozwoliło ujawnić obecność mniejszości niemieckiej w naszym państwie. Odpowiedź na pytanie, skąd się wzięła mniejszość niemiecka na Śląsku, jest taka sama, jak odpowiedź na pytanie o pochodzenie mniejszości polskiej na Litwie. To zmiana granic w wyniku postanowień z Jałty i Poczdamu sprawiła, że ludzie mieszkający od wielu pokoleń, od wieków na tej samej ziemi, stali się mniejszością narodową. Granice państw zostały przesunięte, część ludności pozostała na miejscu, u siebie, we własnym domu, lecz w innym państwie.

Myślę, że po tym wstępie mogę podjąć próbę zarysowania konstrukcji odpowiedzi na podstawowe pytanie, stanowiące temat mojego artykułu. Spróbuję zbiorczą, wielowymiarową rzeczywistość podzielić kilkoma płaszczyznami i na tych płaszczyznach próbować analizować problem. Wyróżnię płaszczyzny: społeczną, polityczną, ekonomiczną i prawną.

Warunki społeczne

Na płaszczyźnie społecznej można zwykle szukać śladów konfliktów i napięć. Jest to szczególnie ważne

w obecnej sytuacji Polski. Mniejszość różni się od większości, zaś fakt występowania różnic decyduje o sytuacji mniejszości. Tam, gdzie występują różnice, występują również różne napięcia. Nawet w stadzie gęsi odmienny kolor upierzenia może spowodować dla mniejszości kłopoty ze strony jednolicie upierzonej większości. Cóż dopiero wśród ludzi z całym bogactwem ich wrażliwości, ale również poglądów, stereotypów i uprzedzeń.

Mniejszość i większość są zwykle skazane na współistnienie na tym samym obszarze, w obrębie tego samego państwa. Werdykt skazujący na współistnienie wydaje zwykle historia. Jakość takiego współistnienia decyduje o losie mniejszości, a także większości. Siłą faktów, wobec przewagi liczebnej otoczenia, mniejszość znajduje się zwykle na pozycji słabszego. Większość ma zwykle – w swoim własnym przekonaniu – wspaniałe, pożądane i znane zalety. Mniejszość nadaje się natomiast doskonale do roli kozła ofiarnego, na którego można zrzucić różne winy, znaleźć wytłumaczenie niepowodzeń większości, co pozwala jej zachować dobre mniemanie o sobie. Jeśli między mniejszością a większością dzieje się cokolwiek negatywnego, to winna jest (z definicji) mniejszość i szkoda czasu na dyskusję. Wyjaśniłem to wyżej, pisząc z pozycji człowieka należącego do mniejszości, który na co dzień odczuwa zalety i przewagę większości (na szczęście nie całej). Oczywiście, wyobrażenie mniejszości o sobie jest równie pozytywne, niejako symetryczne w stosunku do wyobrażeń o sobie większości. Różnice dotyczą tylko niektórych szczegółów, związanych z tożsamością mniejszości. Trzeba należeć do mniejszości, by widzieć, w czym jest ona najlepsza, natomiast jedynie większość może zauważyć wady mniejszości. Ta sama reguła dotyczy większości. Ten swoisty, obiektywnie uwarunkowany i ujemnie budowany obraz większości w oczach mniejszości i na odwrót stwarza największe kłopoty, jeśli chodzi o współistnienie obu grup.

Zdemontowanie stereotypów i uprzedzeń, a przynajmniej ich osłabienie, jest warunkiem spokojnego współżycia mniejszości i większości. Spróbuję ocenić możliwe fazy współżycia. Mniejszość i większość mogą istnieć:

- przeciwko sobie, to jest w stanie wrogości i negacji;
- w stanie izolacji, obojętności lub negacji;
- ze sobą, w stanie tolerancji i współpracy na płaszczyźnie obywatelskiej;
- dla siebie, w stanie wzajemnej akceptacji i szerokiego współdziałania, na wszystkich obszarach życia społeczeństwa i jednostki.

W Europie znajdziemy przykłady ilustrujące wszystkie stopnie współistnienia: od czynnej negacji (np. na Bałkanach), do wzajemnej akceptacji (np. mniejszości duńskiej w Niemczech w Szlezwiku-Holsztynie).

Na płaszczyźnie społecznej występują nader zróżnicowane postawy i zachowania większości, od podstaw tolerancji i gotowości do dobrej koegzystencji, wynikających bądź z poważnego traktowania wartości chrześcijańskich lub samej cywilizacji europejskiej, do postaw szowinistycznych i ksenofobicznych, wyrażanych we wrogości do wszystkiego co obce. Dla pierwszej grupy ludzi, mniejszość niemiecka nie jest przeszkodą w ułożeniu stosunków polsko-niemieckich, może być ich ubogaceniem. Nie rozwijam tutaj tematu roli pomostowej mniejszości niemieckiej, jako pozostającego w fazie deklaracji. Pomost bowiem potrzebuje oparcia na dwóch brzegach. Dla szowinistów każda mniejszość jest przeszkodą, i to w każdym działaniu. Żydzi, Niemcy i Ukraińcy nadal są widziani jako odwieczni wrogowie Polski. Mniejszość niemiecka podlega silnemu naciskowi ugrupowań nacjonalistycznych działających na terenie Górnego Śląska, bez jakichkolwiek zauważalnych przeszkód ze strony władz państwa polskiego. Do dziś w Polsce można każdego bezkarnie obrażać, każdemu zagrozić przez rozpowszechnienie dowolnej, dowolnie fałszywej informacji. Gra na bliźnach wyniesionych z ostatniej wojny jest ciągle w pełni akceptowanym

sposobem zorganizowanej wojny psychologicznej z mniejszością niemiecką, prowadzonej zarówno przez część środków masowego przekazu jak i niektóre osoby związane z administracją rządową. Dla tej grupy ludzi istnieje tylko jedno rozwiązanie problemu mniejszości, nie tylko niemieckiej.

Warunki polityczne

Wyjście narodu polskiego z okresu rządów totalitarnych i odzyskanie wolności przez społeczeństwo polskie spowodowały potrzebę przewartościowania wielu informacji. Fałsz i zakłamanie bowiem dotyczyły w przeszłości również problemów mniejszości etnicznych. Jest to niewygodne dla tych spośród większości, którzy ulegli działaniu propagandy. Dzisiaj można już powiedzieć o sobie: „jestem Niemcem, Żydem, Ukraińcem”, bez większego ryzyka negatywnej reakcji w postaci bezpośredniej agresji. Jednakże nadal publicznie deklarowana przynależność do mniejszości może być dużym obciążeniem. Doświadczam tego nader często, nawet jako senator.

Mniejszość niemiecka w Polsce jest dość liczna. Brak jednak urzędowych danych statystycznych. W różnych opracowaniach jej liczebność szacuje się na 600-800 tys. osób. Są to, moim zdaniem, szacunki realne. Na Śląsku Opolskim, na zwartym obszarze żyje około 300 tys. członków mniejszości niemieckiej. Zwarte grupy mniejszości niemieckiej występują w woj. katowickim i częstochowskim, na obszarze historycznego Górnego Śląska. Łącznie daje to około 300 tys. osób. Niewielka część mniejszości (około 10%?) żyje w rozproszeniu w kilkunastu województwach.

W życiu publicznym w Polsce mniejszość niemiecka pojawiła się na przełomie lat 1989/1990, głównie w wyniku rejestracji (po długich staraniach) organizacji społeczno-kulturalnych w woj. katowickim, częstochowskim i opolskim. Inaczej było w przypadku mniejszości nie-

mieckiej na Dolnym Śląsku, obecnie nielicznej, której obecność była uznawana w całym okresie powojennym.

W woj. opolskim w wyborach samorządowych w maju 1990 r. mniejszość niemiecka uzyskała reprezentację w radach około 40 gmin (na 64 w całym województwie), w tym w 26 w radach gmin osiągnęła przewagę liczebną. Tylko w 15 gminach są wójtowie lub burmistrzowie należący do mniejszości, w pozostałych – z woli rady sprawowanej przez mniejszość – władzę wykonawczą sprawują wójtowie lub burmistrzowie nie należący do mniejszości. Świadczy to o znacznym stopniu zintegrowania mniejszości z większością na płaszczyźnie samorządowej oraz pragmatyzmie mniejszości. Samorządy województwa opolskiego pracują dobrze. Rezultaty są widoczne w szybkiej zmianie wyglądu miasteczek i wsi, zwłaszcza tam gdzie przeważa mniejszość lub współistnieje większość i mniejszość. W woj. opolskim na płaszczyźnie samorządowej nie występują konflikty między większością i mniejszością. Atmosfera w Sejmiku Samorządowym w Opolu jest bardzo dobra, współpraca większości i mniejszości przykładowa, niewymuszona, bez istotnych napięć, przy dobrej woli obu stron. Mamy tam do czynienia z czymś w rodzaju konstruktywnej konkurencji. Również w gminach, w których mniejszości niemieckiej nie ma lub jest ona nieliczna, istnieje przekonanie o potrzebie sprawnego działania, „aby pokazać, że nie jesteśmy gorsi”.

Na Śląsku Opolskim podstawowym problemem mniejszości niemieckiej jest zorganizowanie systemu nauczania języka niemieckiego w szkołach podstawowych i średnich. Problem ten jest jeszcze daleki od rozwiązania. W wyniku współdziałania obu stron, na podstawie regulacji prawnych wydanych jeszcze przez min. Stelmachowskiego, doprowadzono do tego, że nauka języka niemieckiego jest dostępna praktycznie we wszystkich szkołach średnich na terenie województwa i prawie w połowie szkół podstawowych. Wymiar godzinowy nauki jest niewielki – jest on nauczany jako język obcy

obowiązkowy lub fakultatywny. W województwie występuje drastyczny brak nauczycieli języka niemieckiego, oceniany obecnie na około 200 osób. Wysiłki kuratorium w Opolu i jego współdziałanie z mniejszością są godne uznania. Jednakże nie ma tam dotąd (dane odnośnie do roku szkolnego 1991/1992) ani jednej szkoły z niemieckim językiem nauczania. Przyczyny tego są natury obiektywnej i nie wynikają ze złej woli. Nauczanie języka niemieckiego jest nadal w woj. opolskim problemem, przestaje jednak dzielić społeczność i wywoływać konflikty. Również większość jest często zainteresowana tą nauką. Moje osobiste marzenie, by język przestał dzielić ludzi, zaczyna się powoli na Śląsku Opolskim materializować.

W wyniku wyborów parlamentarnych w 1991 r. mniejszość niemiecka uzyskała reprezentację w Sejmie (7 posłów) i w Senacie (1 senator), przy czym: 3 posłów zdobyło mandaty w woj. opolskim, 2 posłów – w woj. katowickim, 1 poseł – w woj. częstochowskim i 1 poseł z listy centralnej. Miejsce w Senacie mniejszość uzyskała w woj. opolskim. Z zadowoleniem podkreślam spokojny i cywilizowany przebieg ówczesnej kampanii wyborczej w woj. opolskim. Nigdzie, według mojego rozeznania, nie przekroczono na większą skalę granic zwykłej przyzwoitości, wzajemnego szacunku.

Program Komitetu Wyborczego „Mniejszość Niemiecka” w Opolu określał 3 główne cele polityczne i społeczne:

- zgodne współżycie wszystkich ludzi żyjących na Śląsku w warunkach integracji, jednak bez przymusu asymilacyjnego;
- budowę demokratycznego państwa obywatelskiego, szanującego prawa mniejszości;
- dobrą współpracę ze wszystkimi sąsiadami Polski, a szczególnie Niemcami – integrację europejską.

Te hasła wyborcze są konsekwentnie realizowane w pracach grupy parlamentarnej „Mniejszość Niemiecka”. Działalność grupy określa pełny udział w pracach

Sejmu i Senatu (jednak bez angażowania się w konflikty), dążenie do stabilizacji życia politycznego, dobra i lojalna współpraca z ugrupowaniami proreformatorskimi i proeuropejskimi, z tzw. Małą Koalicją (UD, KL-D, PPG). W warunkach zróżnicowanego politycznie poprzedniego Sejmu wiele aktów prawnych o decydującym znaczeniu przeszło także głosami „Mniejszości Niemieckiej”. Wola konstruktywnego działania „Mniejszości Niemieckiej” w Sejmie i Senacie ma istotne znaczenie dla osiągnięcia podstawowych celów mniejszości – akceptacji społecznej i spokojnej koegzystencji w warunkach równości.

Warunki gospodarcze

Na płaszczyźnie ekonomicznej wśród mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku można wyróżnić dwie grupy ludzi: pracujących w dość dobrze zagospodarowanych i funkcjonujących zakładach prywatnego rzemiosła i rolnictwa oraz ludzi opuszczonych, żyjących niekiedy samotnie w rozproszeniu, w obcym otoczeniu, zwłaszcza w Okręgu Przemysłowym Górnego Śląska – ludzi, którzy zostali opuszczeni zarówno przez państwo polskie jak i niemieckie. Generalnie perspektywy ekonomiczne mniejszości niemieckiej są nie najlepsze, ze względu na fakt wyemigrowania młodzieży i utrzymujący się nadal trend do emigracji. Nic nie wskazuje na szybką zmianę sytuacji.

Potrzeba regulacji prawnych

W sferze prawnej wszystkie mniejszości narodowe w Polsce odczuwają brak jasnych i możliwych do wyegzekwowania regulacji prawnych. Brakuje tradycji dobrej polityki w stosunku do mniejszości. Modne obecnie wśród wielu ugrupowań politycznych odwoływanie się do tradycji przedwojennych w polityce jest bardzo niebezpieczne dla wszystkich mniejszości. Społeczność

polska wykazuje szczególną wrażliwość na problem równości wobec prawa. Wrażliwość ta, ukształtowana w wyniku doświadczeń z przeszłości, sama w sobie jest wartością bardzo cenną. W odniesieniu do mniejszości wyraża się ona jednak w szczególnym uporze w odrzucaniu możliwości specjalnych regulacji prawnych dla mniejszości.

Równość jest piękna i dobra. Jednakże aby szanse mniejszości rzeczywiście były równe, muszą one znajdować specjalne wsparcie w prawie. Zaczniemy od demokratycznych wyborów. Bezwzględne stosowanie zasady „demokratycznej” – decyduje głos większości, a mniejszość podporządkowuje się jej decyzjom – prowadzi do eliminowania wszelkich mniejszości z życia społecznego, a już na pewno z płaszczyzny politycznej. Takie poglądy często spotykają się z uznaniem i wsparciem części większości. (Ostatecznie mniejszość to tylko mniejszość – stwierdziła na łamach prasy pewna osoba, poczuwająca się do obowiązku reprezentowania racji większości.) Sądzę, że trzeba wyraźnie odróżniać historyczne mniejszości etniczne od wszelkich innych. Równouprawienie wszelkich mniejszości nie jest, oczywiście, możliwe. Mniejszości etniczne, zwane umownie historycznymi, to takie grupy społeczne, które od wieków żyją na swoim terytorium, a które bieg historii odciał od macierzystego narodu. Klasyczny przykład takich mniejszości to mniejszość polska na Litwie i mniejszość niemiecka na Śląsku. Nie mając możliwości zrealizowania naturalnego prawa do samostanowienia historyczne mniejszości etniczne zachowują naturalne prawo do udziału w życiu państwa, w którym się znalazły. A to dlatego, że są u siebie, we własnym domu, na swojej własnej – od wielu pokoleń – ziemi. Pierre Trudeau, były premier Kanady, gdzie przykładowie współżyje kilkadziesiąt grup etnicznych, stwierdził kiedyś: *Stosunek do mniejszości jest miarą stopnia cywilizacji kraju*. Samo stwierdzenie, na jakim stopniu cywilizacji znajdujemy się obecnie w Polsce, nie rozwiązuje problemu.

Pozytywny stosunek sił proreformatorskich w Polsce do mniejszości etnicznych nie wystarcza, by ludzie należący do mniejszości uzyskali poczucie bezpieczeństwa i rzeczywistej równości wobec prawa. Sytuacja polityczna i nastroje społeczne zmieniają się szybko, zaś obawy przed dyktaturą sił nacjonalistycznych i jej skutkami dla mniejszości są duże.

Mniejszości etniczne żyjące w Polsce potrzebują gwarancji prawnych, przede wszystkim w konstytucji uznającej prawo mniejszości do istnienia, zachowania tożsamości, rozwoju i rzeczywistej równości w społeczeństwie. Zadeklarowanie jedynie formalnej równości mniejszości wobec prawa przekreśla szanse jej członków na rzeczywistą równość w życiu społecznym. Potrzebne są zatem dodatkowe mechanizmy prawne, które gwarantowałyby wyeliminowanie dyskryminacji mniejszości w życiu społecznym. Większość zawsze da sobie radę, nawet gdyby miała działać w warunkach prawa dżungli, a to dlatego, że jest większością i ma naturalną przewagę. Regulacje prawne, zapewniające rzeczywiste wyrównanie szans mniejszości w życiu społecznym, zwane są niekiedy pozytywną dyskryminacją. W warunkach polskich istnieją formalne szanse uregulowania praw mniejszości przez przyjęcie regulacji europejskich. Szanse na wypracowanie własnych norm regulujących prawa i obowiązki mniejszości, są niewielkie. Liczę na Radę Europy, na przyjęcie przez Polskę jej zaleceń (*Recommendation 1201*), jako podstawy polskich uregulowań prawnych.

W walce o jak najmniej „ustępstwa” wobec mniejszości często jest podnoszony argument, że w niektórych demokratycznych państwach zachodnich, np. we Francji, nie ma specjalnych regulacji prawnych w odniesieniu do mniejszości etnicznych. Argument chybiony, gdyż dla mniejszości decydujące znaczenie ma cała kultura prawna państwa oraz wartości uznawane przez większość obywateli. W stabilnej, rozwiniętej demokracji, przy wysokim stopniu rozwoju cywilizacyjnego, mniejszości

mogą mieć szanse równego udziału w życiu społecznym nawet bez specjalnych regulacji prawnych. W krajach, które dopiero zaczynają budować demokratyczną państwowość, w których dopiero kształtuje się nowe, wolne od totalitarnego myślenia społeczeństwo, nawet specjalne regulacje prawne na korzyść mniejszości nie muszą automatycznie zapewniać mniejszości rzeczywistej równości szans. Akceptowanie mniejszości i życzliwe rozumienie ich potrzeb to w tym względzie fundamentalne warunki wstępne. W sposób szczególny dotyczy to również mniejszości niemieckiej na Śląsku.

Aktualna sytuacja

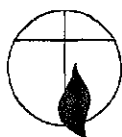
Po wyborach parlamentarnych z 19 IX 1993 r. powstała nowa sytuacja polityczna. Zwycięstwo dwóch ugrupowań lewicowych SLD i PSL, stworzyło nową, trudną sytuację dla mniejszości niemieckiej. Mniejszość poniosła porażkę w wyborach, podobnie jak inne ugrupowania postsolidarnościowe. Do Sejmu weszło 4 posłów (3 z woj. opolskiego, 1 z woj. katowickiego), w Senacie pozostał nadal ten sam senator. Ugrupowanie parlamentarne mniejszości niemieckiej będzie nadal ściśle współpracować z Unią Wolności, co oznacza obecnie pozostawanie w opozycji.

Pytanie o przyszłość mniejszości niemieckiej w Polsce, pozostaje otwarte. Jest w gruncie rzeczy pytaniem o los polskich przemian, o los polskiej demokracji. Tylko niemiecko-polska wspólnota interesów może stabilizować położenie mniejszości niemieckiej i przełamać niebezpieczną pochyłość dobrobytu nad granicą Odry i Nysy. Niemcy w Polsce mogą urzeczywistnić naturalną funkcję pomostu między Niemcami i Polską tylko przez ścisłą wzajemną pracę.

Czy demokracja w Polsce przeżyje? Czy będzie możliwa przebudowa Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego i uratowanie żyjących tam ludzi? Czy niemieckie przedsiębiorstwa uwzględnią szczególne położenie Ślą-

ska w swoich decyzjach? Czy po układach niemiecko-polskich problem Śląska jest dla Niemiec i Polski ostatecznie rozwiązany?

Zawiedzione oczekiwania, głębokie rozczarowanie wielu członków mniejszości istniejącym stanem stanowią – moim zdaniem – główną przyczynę ostatniej porażki wyborczej. Stan ten musi znaleźć swoje odbicie w działaniach obu stron traktatu – polskiej i niemieckiej – na rzecz rozwiązania problemów mniejszości niemieckiej w Polsce, aby mogła się ona stać naturalnym pomostem łączącym obu sąsiadów.



Manfred Spieker

Wschodnioniemiecki proces transformacji

Kościół i społeczeństwo na etapie poszukiwań*

Długą drogę musieli przebyć Izraelici, zanim po wyjściu z Egiptu weszli do Ziemi Obiecanej. Nie trzeba być egzegetą Starego Testamentu, by wiedzieć, iż radość z powodu końca niewoli w kraju faraonów wkrótce przerodziła się w szemranie przeciw Mojżeszowi, który na polecenie Pana wyprowadził lud wybrany z niewoli egipskiej. Na pustyni Izraelici narzekali nie tylko na brak wody i żywności; otwarcie przyznawali, że wolęliby powrócić do garnków z mięsem w Egipcie.

Europa Środkowo-Wschodnia znajduje się jeszcze w stadium pustynnej wędrówki. Niewola zakończona, ziemi obiecanej nie widać na horyzoncie. Dokładne opisanie drogi dotarcia do niej nie jest łatwe. Brakuje zarówno precyzyjnej lokalizacji jak również konkretnych wizji ziemi obiecanej. Nie ma także Mojżesza, człowieka wybranego przez Boga, który pewien swego powołania mógłby stawić czoło szemrzącym i wziąć na siebie ciężar poszukiwań.

Ponadto Europa Środkowo-Wschodnia nie jest jednolitym tworem. Nie była nim w czasach komunistycznego zniewolenia, nie jest nim tym bardziej dzisiaj. Politycz-

* Tytuł oryginalny *Der ostdeutsche Transformationsprozess. Kirche und Gesellschaft auf der Suche*.

ne, ekonomiczne, kulturowe i religijne problemy w nowych niemieckich krajach związkowych są inne niż w Polsce, na Węgrzech, w Czechach, Słowacji, Rumunii czy krajach nadbałtyckich, inne niż problemy, a nawet tragedie w krajach byłego Związku Radzieckiego, nie mówiąc już o Jugosławii. Te ostatnie ukazują ponadto, iż nie tylko Europa Środkowa i Południowo-Wschodnia znajduje się w stadium poszukiwań, lecz także Zachodnia, a nawet cały atlantycki Zachód.

Nowy wiek demokracji, pokoju i jedności, który miał się stać faktem 21 XI 1990 r., okazał się jedynie krótką chwilą szczęścia europejskiego okresu powojennego. Tego dnia kraje KBWE podpisały w Paryżu Kartę nowej Europy, co wywołało radość prawie całego świata z powodu upadku komunizmu, określiło zakończenie konfliktu Wschód – Zachód i spowodowało zjednoczenie Niemiec. Koniec historii, budzący zarówno obawy jak i nadzieje, nie nadszedł. Nowe kryzysy, konflikty i wojny sprawiają, iż nadal czujemy się bezradni i bezsilni.

Narody Europy Środkowo-Wschodniej w 1989 r. – *cudownym roku europejskiego okresu powojennego* – w ciągu kilku tygodni uwolniły się od dyktatury partii marksistowsko-leninowskich i rozpoczęły radykalne procesy przemian swych systemów gospodarczych i społecznych oraz ustrojów państwowych, przemian, dla których nie istniały gotowe wzorce oparte na historycznym doświadczeniu, teoriach gospodarczych lub naukowo-społecznych.

Cele były jasno określone. Socjalistyczne rządy jednej partii miały być zastąpione praworządnymi, społeczno-państwowymi demokracjami z parlamentarnymi lub prezydenckimi systemami władzy i pluralizmem partyjnym. Socjalistyczne gospodarki planowe miały się odtąd stać socjalnymi gospodarkami rynkowymi z własnością prywatną, wolną konkurencją, wymiennymi walutami i społecznymi systemami zabezpieczeń. A socjalistyczne społeczeństwa ubezwłasnowolnionych, indoktrynowanych obywateli kontrolowanych przez organizacje o cha-

rakterze masowym i śledzonych przez tajne służby bezpieczeństwa miały się zamienić w wolne społeczeństwa obywatelskie, w których obywatel byłby osobą samodzielną, gotową do podjęcia wysiłku i ryzyka, wykazującą zdolności organizacyjne i uczestniczącą w kształtowaniu politycznego obrazu kraju. Po zmianie Kościoły chrześcijańskie nie musiały zmieniać Ewangelii, co jednakże nie zwolniło ich i nie zwalnia z odpowiedzialności za przemianę wewnętrzną. Kościoły chrześcijańskie powinny nie tylko udzielać wsparcia moralnego i dokonywać krytycznej oceny politycznych, ekonomicznych i społecznych procesów transformacji, lecz muszą również dokonać reorganizacji w ramach własnych struktur; przejścia od Kościoła kleru do Kościoła ludu Bożego z aktywnym udziałem świeckich, od monolitycznej opozycji wobec systemu socjalistycznego do zaczynu społeczeństwa pluralistycznego.

O ile cele były i są jasno określone, o tyle nadal pozostaje otwarta kwestia kolejności i szybkości wprowadzania poszczególnych zmian, kwestia przeszkód strukturalnych i mentalnych, krótko mówiąc – problem warunków transformacji. We wszystkich krajach trudności przerosły oczekiwania z 1989 r. Zanim bliżej przyjrzymy się sytuacji Kościoła, spróbujemy scharakteryzować sytuację społeczeństwa, w którego procesie transformacji możemy wyróżnić trzy różne płaszczyzny: systemu politycznego, systemu gospodarczego oraz kultury politycznej. Choć w rzeczywistości procesy transformacji na tych trzech płaszczyznach są ze sobą ściśle związane, podział taki może być pomocny przy określaniu, analizie naukowej i rozumieniu problemów.

Państwo i konstytucja

Przemiana systemu politycznego we wschodnich Niemczech oraz w Polsce okazała się względnie bezproblemowa. Szczególne ułatwienie stanowił brak problemów narodowościowych, owych ognisk zapalnych,

które w innych krajach postkomunistycznych, jak np. w krajach byłego ZSRR i w Jugosławii, prowadzą do krwawych konfliktów, więcej nawet, do strasznych tragedii. Była NRD przystąpiła do Republiki Federalnej na mocy układu państwowego z 31 VIII 1990 r. i od 3 X 1990 r. obowiązuje tam konstytucja. Tym samym wschodnim Niemcom został zaoszczędzony trud konstruowania nowej konstytucji, własnego systemu prawnego, instytucji politycznych i własnych partii. Ci jednak, którzy pragnęli zachować tzw. osiągnięcia NRD, w dyskusji nad konstytucją widzieli możliwość określenia własnej tożsamości, lub też mieli nadzieję, że dyskusja taka może doprowadzić do zmian w ustawie zasadniczej. Żal ten według mnie był nieuzasadniony. Po pierwsze system polityczny NRD jak wszystkie komunistyczne systemy władzy nie może się poszczycić żadnymi osiągnięciami, które należałoby zachować. Po drugie dyskusja nad konstytucją nie oznacza automatycznie nowej tożsamości i jednomyślności; równie dobrze może dzielić. Po trzecie konstytucja RFN ze swym wypróbowanym, sprawdzonym parlamentarnym systemem władzy jest ustawą zasadniczą, która od 1949 r. stanowi gwarancję stabilności praworządnej demokracji. To *najlepsza konstytucja w historii Niemiec*.

Jednakże fakt, że wraz ze zjednoczeniem była NRD przyjęła konstytucję Republiki Federalnej, nie wyklucza dyskusji nad ustawą zasadniczą. Odbływały się one i odbywają – w pięciu nowych landach, z których trzy tymczasem opracowały nową konstytucję¹.

Nie ulega wątpliwości, że po zjednoczeniu ogólna sytuacja Niemiec zmieniła się. Republika Federalna nie jest już taka jak dawniej, a rozszerzona o pięć nowych landów wygląda nieco biedniej. Oczywiście nie chodzi jedynie o określenie dla niej nowej polityki bezpieczeń-

¹ Saksonia – 26 V 1992, Brandenburgia – 14 VI 1992, Saksonia-Anhalt – 15 VII 1992.

stwa i zagranicznej; ma ona bowiem problemy z dopasowaniem do nowej sytuacji swej własnej polityki gospodarczej, finansowej i społecznej. Nie potrzebuje jednakże nowego systemu politycznego i nowej konstytucji. Instytucje państwowe, federalizm, społeczno-państwowy system świadczeń i sposoby kształtowania obrazu politycznego funkcjonują także po zjednoczeniu.

Gospodarka

Proces przemian gospodarczych we wszystkich krajach postkomunistycznych doprowadził do kryzysów, których rozmiary znacznie przerosły przewidywania. Oczywiście wiadomo, że socjalistyczne zakłady były nieproduktywne, wyposażone w przestarzałe systemy technologiczne o niewielkiej wydajności, że system gospodarczy niszczył środowisko naturalne i – chociaż nikt nie głodował – gwarantował jedynie bardzo niski standard życiowy. Ale przynajmniej w przypadku NRD oczekiwano, że *w ciągu kilku lat (...) powstaną kraje mlekiem i miodem płynące, a całość opłacimy pieniędzmi z kasy finansującej transport NRD*.

Proces przemian gospodarczych rozpoczął się w NRD 1 VII 1990 r., wraz z wprowadzeniem unii walutowej, gospodarczej i socjalnej, która określiła kierunki rozwoju gospodarczego. Wspólna waluta – marka zachodnioniemiecka, własność prywatna, konkurencja, swobodne przemieszczanie pracy, kapitału, towarów i usług miały także w NRD zagwarantować socjalną gospodarkę rynkową. Kurs wymiany 1:1 w przypadku pensji, wynagrodzeń, rent i emerytur był uwarunkowany politycznie. Miał na celu powstrzymanie masowej migracji ze wschodu na zachód, która po otwarciu muru nadal się nasilała². W NRD hasło brzmiało: „Jeśli marka zachod-

² W 1989 r. uciekło na zachód 344 tys. osób, tylko w listopadzie i grudniu jeszcze 176 tys., w I poł. 1990 r. – 247 tys.

nia nie przyjdzie do nas, my pójdziemy do niej”. Dla ekonomii kurs wymiany oznaczał klęskę. Niewydajną gospodarkę NRD pozbawił ostatniej powłoki ochronnej. W ciągu jednego dnia znalazła się ona wśród grona konkurentów, którym nie dotrzymywała kroku. *Zmiana waluty była zmianą oleju, lecz zmiana oleju nie uruchomiła jeszcze nowej maszyny gospodarczej.*

Poziom płac w nowych landach osiąga dzisiaj około dwóch trzecich poziomu w starych landach, ale produktywność – jedynie jedną trzecią. To oznacza, iż jednostkowe koszty płac w nowych są dwukrotnie wyższe niż na zachodzie. Układy zbiorowe pracy przewidywały początkowo do 1994 r. – później zaś po sprzeciwie pracodawców wiosną 1993 r. – do kwietnia ewentualnie lipca 1996 r. całkowite dopasowanie płac do poziomu zachodniego w tak ważnych branżach, jak przemysł żelazny, stalowy, metalowy i elektryczny. Jednakże może to zwiększyć dysproporcję między płacami a produktywnością. Logiczne następstwa to spadek produkcji przemysłowej, niemożność realizacji niezbędnych inwestycji, wzrost deficytu instytucji powierniczej, niepokojąco rosnące bezrobocie. Przemiana strukturalna grozi załamaniem transformacji.

Kultura polityczna

Kultura polityczna kraju to suma wartości i norm, postaw i sposobów zachowania obywateli, które kształtują życie publiczne. Jest ona miernikiem subiektywnego odbioru historii i polityki, orientacji religijnych i systemów wartości, które określają stopień identyfikacji z własnym państwem. Choć na podstawie wielości orientacji trudno jest określić kulturę polityczną, a jej opis może być zbyt subiektywny bądź eklektyczny, to w naukach politycznych i w etyce społecznej uważa się, iż kulturze politycznej lub „obyczajom” (Monteskiusz) należy przypisać ważną rolę w określaniu pozycji danego społeczeństwa. Nie wystarczy jedynie analiza syste-

mu politycznego, jego struktur i instytucji, oraz analiza systemu gospodarczego i jego zdolności produkcyjnych. Już w okresie władzy partii komunistycznych, które miały bardzo podobne instytucje i ideologie, ważną rolę przypisywano kulturze politycznej kraju. Relatywizowała ona bądź też wzmacniała roszczenia do władzy ówczesnych partii.

W NRD aż do momentu przełomu istniała podwójna kultura polityczna. Oficjalnie ludzie bez entuzjazmu obchodzili Jugendweihe (ślubowanie młodzieży), odbywali służbę wojskową, machali chorągiewkami na pierwszomajowych pochodach i podczas demonstracji 7 listopada, realizowali plan, brali udział w kampaniach żniwnych i wrzucali do urn wyborczych puste kartki. *Byliśmy narodem, który przy przynajmniej 80% frekwencji wyborczej nie miał odwagi, by kabiny wyborcze wykorzystać do czegoś innego niż tylko do składania kartek.* Nieoficjalnie zaś ludzie poszukiwali nisz wolnych od władzy i ideologii, każdego wieczora emigrowali na zachód, gdy zasiadając przed telewizorami oglądali zachodnioniemieckie programy, wewnętrznie odrzucali SED i jej ideologię, tęsknili za Republiką Federalną. Ludzie w NRD chcieli zmiany, ale nie przemiany. Mieli nadzieję na życie takie jak w Republice Federalnej, szczególnie jeśli chodzi o zakres wolności osobistej, i bardzo nierealnie oceniali problemy i rozmiary czekających ich przemian, niezbędnych, gdy do RFN wchodzi się nie z walizką w rękę, lecz z całym krajem....

Jaką kulturę polityczną obserwujemy we wschodnich landach trzy lata po zjednoczeniu? Nie zniknęła radość z powodu zakończenia komunistycznego panowania, obalenia muru i zjednoczenia państw, jednakże pod wpływem wielu zawiedzionych nadziei i problemów, związanych z rozwojem ekonomicznym oraz asymilacją różnych mentalności, radość ta relatywizuje się i bywa kwestionowana. Także przed starymi landami stoją wyzwania często jeszcze nie rozpoznane. O ile przed zjednoczeniem 61% obywateli NRD czuło się raczej oby-

watelami Niemiec i tylko 32% bardziej obywatelami Wschodnich Niemiec, o tyle w 1992 r. stosunek ten jest prawie odwrotny: jeszcze tylko 35% czuje się bardziej obywatelami Niemiec i 60% bardziej obywatelami wschodnich Niemiec. Spadek liczby urodzeń o 70% pomiędzy 1989 i 1992 r. w dramatyczny sposób wskazuje na strach, zmianę oczekiwań i stosunku do życia.

Trudności procesu przemian gospodarczych przyczyniły się zapewne do smutnej konfrontacji realiów z wygórowanymi oczekiwaniami, zaś pewien nietakt ze strony zachodnich przedsiębiorców, kupców, urzędników, likwidatorów, którzy zachowywali się jak władcy kolonialni, wywołał rozgoryczenie. Istnieją również wschodnioniemieckie sposoby postępowania, ugruntowane w ciągu 40 lat socjalizmu, które utrudniają proces transformacji. Ukazują one, że struktury społeczne i instytucje w perspektywie dłuższego czasu oddziałują w sposób zasadniczy na oczekiwania, system wartości i postawę dyspozycji obywateli.

Cechą kultury politycznej wschodnich Niemiec jest utrata indywidualnej gotowości do ryzyka i odpowiedzialności. *Świadomość, iż każdemu wolno i każdy musi sam kierować własnym życiem, w dużej mierze zanikła lub też staje się ciężarem.* Takie zachowanie jest skutkiem systemu państwa opiekuńczego, które nie popierało, lecz karało własną inicjatywę. Istniało tylko współuczestnictwo, nie było żadnej działalności na własną odpowiedzialność (...). *Spółeczeństwo na służbie państwa stało się społeczeństwem upaństwowionym, czego wynikiem jest utrata poczucia obywatelskiego.* Z utraty tej zaś wynika bierne oczekiwanie na pomoc, domaganie się od państwa ciągle nowych świadczeń, co osłabia gotowość do podjęcia ryzyka i inicjatywy. W porównaniu z zachodnimi Niemcami we wschodnich znacznie większy procent ludności jest przekonany o tym, że państwo może zagwarantować odpowiednie mieszkanie, zapewnić bezrobotnym standard życiowy, udostępnić nowe miejsca pracy, kontrolować ceny i dofinansowywać przemysł.

Jednocześnie gotowość do agnawowania się w działalność partyjną na wschodzie jest znacznie niższa niż na zachodzie.

Drugą cechą kultury politycznej wschodnich Niemiec jest postępujący proces poganizacji społeczeństwa. Liczba niechrześcijan wyraźnie przewyższa liczbę chrześcijan obu wyznań, przekonanych ateistów jest więcej niż we wszystkich pozostałych krajach europejskich razem wziętych. Podczas gdy w starych landach przekonanych ateistów w 1990 r. było 3%, to w nowych – 18%. Proces poganizacji raczej wzmacnia postawę dyspozycyjności obywateli, która czyni państwo wszechmocnym opiekunem regulującym wszystko.

Lecz socjalistyczny system gospodarczy ze swoimi brakami zrodził także postawy, które wychodzą na dobre kulturze politycznej wschodnich Niemiec. System nieustannie zmuszał ludzi do improwizacji, do niwelowania błędów planowania i do organizowania sieci prywatnych układów. *W każdym zakładzie w wyniku ogólnego bałaganu pracownicy nabywali „umiejętność życia w chaosie”.* Gwarantowała ona kontynuację produkcji – łącznie ze stosunkami osobistymi (...) *Gospodarka ciągłych niedoborów każdego chociaż raz postawiła w roli „dowódcy na skraju przepaści”.* Na szczęście „kwalifikacje chaosu” nie są na pewno wymagane w gospodarce rynkowej. Ale ludzie we wschodnich Niemczech są przyzwyczajeni do niedostatku. W większości są gotowi zakasać rękawy i przetrwać posuchę procesu transformacji. Większych trudności i braku owej gotowości należałoby się raczej spodziewać ze strony obywateli zachodnich Niemiec, których w ciągu ostatnich 40 lat rozpieszczał nieustanny wzrost dobrobytu. Można to było zauważyć w dyskusji nad wspólnym układem wiosną 1993 r. Koszty zjednoczenia nie są jednorazowym wyłożeniem pieniędzy z kasy finansującej transport NRD, lecz wymagają wieloletnich transferów przekraczających 100 mld marek zachodnich aż do czasu, gdy była NRD będzie w stanie sama zatroszczyć się o swój rozwój

gospodarczy. Do tego zaś momentu obywatele zachodnich Niemiec muszą *na dłuższy czas nauczyć się rezygnacji ze wzrostu swej konsumpcji. Tylko wtedy może się udać odbudowa wschodnich Niemiec.*

Kościół

Zawsze gdy w byłym bloku wschodnim Kościół głosił Ewangelię, relatywizował roszczenia partii komunistycznych do władzy. W NRD Kościół katolicki nie tylko z dystansem obserwował budowę socjalizmu, lecz także krytycznie ustosunkowywał się do niej w wielu listach pasterskich, memorandach do rządu i oświadczeniach. Wszystkie Kościoły chrześcijańskie na spotkaniu ekumenicznym „Sprawiedliwość, pokój, zachowanie stworzenia” prowadziły otwarte dyskusje nie tylko podczas trzech sesji w 1988/89 r., lecz w uchwalonym 30 IV 1989 r. dokumencie „Więcej sprawiedliwości w NRD” przedłożyły SED krytyczną analizę sytuacji i naszkicowały program przemiany, która miała miejsce pół roku później.

Ewangelickie kościoły lokalne mające struktury synodalne zaproponowały *poligon ćwiczeń demokracji*. Wraz ze swoimi pastorami tworzyły – jak również w nieco mniejszym wymiarze Kościół katolicki – *jedyną wolną od państwa elitę* w NRD. Potwierdza to np. fakt, że w 1989 r. połowę spośród 43 członków organu założycielskiego SPD stanowili ewangeliccy pastory i wikariusze. Udzielali też oni swego rodzaju kościelnego azylu wielu grupom opozycyjnym, które w latach osiemdziesiątych angażowały się w ruchach na rzecz pokoju i ochrony środowiska, a także prześladowanym chętnym do opuszczenia NRD.

Kościół katolicki z prawie milionem wiernych, co stanowi mniej niż 7% ogółu ludności, żył i działał dystansując się od państwa – cofnięty, aczkolwiek w żadnym wypadku w getcie czy „obcy” w kraju. Pełnił funkcję oazy na pustyni socjalizmu. Kard. Bengsch w latach

sześćdziesiątych dał przykład utrzymywania ścisłego dystansu wobec aparatu władzy. Linię tę kontynuował kard. Meissner, zaś papież Jan Paweł II udzielił jej później poparcia podczas spotkania w Rzymie z wschodnioniemieckimi biskupami 14 X 1992 r. Kościół katolicki dlatego *sprostował tej roli, jaką pełni w społeczeństwie, że nie angażował się w dyktatorski system niesprawiedliwości*³. Dopiero podczas przełomu publicznie wystąpił z innymi Kościołami chrześcijańskimi. Stał się maklerem okrągłego stołu, który obradował od 7 XII 1989 do 12 III 1990 r., i który przypieczętował koniec komunistycznego panowania.

Jaka jest obecnie sytuacja Kościołów? Muszą one odnaleźć nie tylko nowe miejsce dla siebie w wolnym państwie i demokratycznym społeczeństwie, ale również stworzyć nową strukturę wewnętrzną. Obie sprawy są ze sobą ściśle powiązane. Oczywiście Kościoły nie zmieniają swego wyznania wiary, świąt, liturgii, sakramentów i Dobrej Nowiny, lecz ich odnowa jest niezbędna ze względu na obecność w społeczeństwie, katechezę, działalność duszpasterską w instytucjach państwowych, propozycje w systemie socjalnym i kształcenia, dzieła charytatywne, obecność w instytucjach publicznych, studia i system kształcenia. Odnowa ta wymaga we wszystkich krajach postkomunistycznych nie tylko sporych nakładów materialnych i odpowiednich ludzi, lecz także fantazji, mądrości i ogromnego wyczucia.

Ewangelickie kościoły lokalne w nowych landach zaraz po przełomie były bardzo zajęte sobą. Dopasowanie się do prawa Kościołów w zachodnich landach nie było łatwe, podobnie jak połączenie wschodnioniemieckiego Związku Kościołów Ewangelickich z zachodnioniemieckim Ewangelickim Kościołem w Niemczech,

³ Jan Paweł II, *Przemówienie* wygłoszone 14 X 1992 do biskupów niemieckich z nowych landów z okazji ich wizyty w Rzymie, „Osservatore Romano” (wyd. niem.) z 20 XI 1992.

które nastąpiło dopiero 24 II 1991 r. Zachodnioniemiecki system regulowania spraw związanych z religią w szkołach i podatków kościelnych przejmowany był z pewnym wahaniem. Do dzisiaj nie jest uregulowana sprawa duszpasterstwa w wojsku. Ale większe problemy niż te dyskusje sprawia kwestia uporania się z przeszłością, dyskusja wokół koncepcji Kościoła w socjalizmie i kontaktów ze STASI ludzi związanych z Kościołem, dla których przykład Stolpego stał się paradygmatyczny. Jednakże szybkie przejście przez to stadium poszukiwań byłoby niezmiernie pożądane ze względu na właściwe powołanie Kościołów: głoszenie Ewangelii i służbę w społeczeństwie.

Kościół katolicki, który nigdy nie określał się mianem Kościoła w socjalizmie, był w lepszej sytuacji. Integracja wschodnioniemieckiego episkopatu z Niemiecką Konferencją Biskupów nigdy nie stanowiła problemu, podobnie jak przejęcie zachodnioniemieckiego prawa Kościołów. Powszechnie wiadomo, iż katolicy, niewspółmiernie do liczby, jaką stanowią w społeczeństwie, gotowi byli budować nowe stosunki i stawać do wyborów do rad miejskich i gminnych, władz powiatowych i w landtagach, do parlamentu i rządu. Mówi się nawet dowcipnie, że protestanci zrobili rewolucję, a katolicy przejęli władzę. Twierdzenie to zawiera jednak niesłuszny zarzut pod adresem katolików, jakoby byli pasażerami stojącymi na stopniach pojazdu; niesłuszny nie tylko dlatego, iż rewolucja w 1989 r. nie była sprawą wyznania, lecz także dlatego, że katolicy stanowiący 5% ogółu ludności, a tym samym 5% ogółu wyborców, nie mogliby uzyskać mandatów, gdyby nie wybrali ich również obywatele wyznania ewangelickiego. Ważnym zadaniem Kościoła jest wskazywanie sposobów działania i udzielanie socjalno-etycznego oraz duchowego wsparcia osobom piastującym urzędy polityczne, a także regularne spotkania z nimi w kurii niezależnie od tego, do jakiej partii należą.

Kościół katolicki o własnych słabych siłach stara się zaistnieć w społeczeństwie. Nadal i w coraz szerszym zakresie kontynuuje działalność, którą mógł prowadzić także przed przełomem, np. w szpitalach, domach opieki i oddziałach „Caritasu”. Natomiast zaczyna to, czego wcześniej nie mógł w ogóle robić, lub tylko w bardzo małym stopniu, a mianowicie rozpoczyna działalność w szkołach, akademiach, placówkach kształcenia dorosłych. Musi zadbać o polityczny kontakt przez katolickie biura w stolicach landów, tworzyć katedry teologii i zabierać głos w instytucjach publiczno-prawnych. Kościół katolicki zdecydował się utworzyć wspólnie z rządami poszczególnych landów w ramach kształcenia nauczycieli religii nowe wydziały teologiczne na wyższych uczelniach. Np. wydział teologiczny na Uniwersytecie Humboldta miałby kształcić nie tylko kapłanów i nauczycieli, lecz także podejmować dialog z innymi dyscyplinami naukowymi, a wydział teologiczny w Erfurcie poszerzony o katedrę chrześcijańskiej nauki społecznej miałby zadbać o socjalno-etyczne wykształcenie księży.

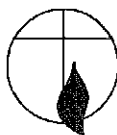
Niemożliwe jest opisanie wszystkich nowych działań. Ale już te wyżej wymienione wskazują, że Kościołowi katolickiemu nie chodzi o odgraniczenie, wydzielenie czy zachowanie wygodnych pozycji, lecz o znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak być w nowym społeczeństwie solą i światłem. Nie chce być Kościołem „odczekać”, lecz „ruszać”. Chodzi mu o *pasterskie objęcie całości*. Rozpoznał on, iż czas po przełomie jest czasem katolickiej nauki społecznej i godziną świeckich. Otwiera się na działalność katolickich stowarzyszeń społecznych, których rola od 150 lat polegała na tym, by budować mosty pomiędzy Kościołem i społeczeństwem, by nasycać społeczeństwo Ewangelią i jednocześnie uwrażliwiać Kościół, przede wszystkim kapłanów, biskupów i profesorów teologii, na problemy społeczne.

W dyskusji nad stowarzyszeniami można zauważyć poszukiwanie nowego samorozumienia Kościoła. Z jednej strony jest kontynuacja katolicyzmu parafialnego,

troska o jego słabe struktury, które nie oferują stowarzyszeniom żadnego potencjału, i strach przed samodzielnością stowarzyszeń. Bp Hubrich na początku 1992 r. oświadczył, iż obawia się trzech rzeczy: *narkotyków, sekt i stowarzyszeń*, co nie było zachęcające dla tych ostatnich. Z drugiej strony proponuje się otwarcie na społeczeństwo, które w stowarzyszeniach widzi szansę przełamania struktur kościelnych ograniczonych do kleru, szansę pogłębienia kościelnego samorozumienia katolicyzmu parafialnego, poszerzenia współpracy świeckich z piastującymi urzędy kościelne oraz wznowienia rozmów na temat apostołatu w świecie.

Właśnie katolicka nauka społeczna oferuje swą pomoc w poszukiwaniu miejsca Kościoła w układach postkomunistycznych. Zawiera wytyczne, kryteria oceny i normy działania świeckich w świecie oraz tworzenia demokracji godnych człowieka. Przede wszystkim pomocne mogą być: osobowa antropologia, zasady porządku i solidarności, wzajemnego wsparcia i dobra wspólnego, jak również dwojake podejście do rozwiązywania problemów politycznych i ekonomicznych, szukające syntezy reform strukturalnych i zmiany ludzkich postaw. Winno to ułatwić znalezienie drogi przejścia z socjalizmu do demokratycznego państwa prawa i rekonstrukcję społeczeństwa obywatelskiego, które są warunkiem procesu transformacji.

tłum. Aneta Głowska



Anna Czarnecka-Rutka

Christa Wolf i spór o literaturę w zjednoczonych Niemczech

Żaden chyba spór literacki w niemieckiej historii powojennej nie wzbudził tylu emocji i publicznego zaangażowania co ten, który wybuchł z początkiem czerwca 1990 r., zainicjowany ostrymi atakami na opowiadanie Christy Wolf „Was bleibt” („Co pozostanie”). Poczynając od zachodnioniemieckich felietonów znalazł on odbicie nawet w artykułach na politycznych stronach wielkich czasopism i gazet¹, a wkrótce objął również swym zasięgiem nie tylko całe Niemcy, ale wykroczył poza granice Europy². Wielką liczbę i nadzwyczaj gwałtowną zaciętość artykułów dotyczących tego sporu należy przypisać wzbudzającym liczne emocje wydarzeniom i zmianom historycznym, których byliśmy świadkami w ostatnich latach. Trzeba tu wymienić przede wszystkim dwa wydarzenia: załamanie się socjalizmu w krajach Europy Wschodniej i przyczynowo z tym związane ponowne zjednoczenie Niemiec. Zmiany polityczne 1990 r. były dla Niemców tak olbrzymie i przytłaczające, że pod ich wpływem wszelkie kwestie sporne nabrały zupełnie nowego wymiaru.

Zaraz po zjednoczeniu w centrum zainteresowania i debaty stanął następujący problem – obawa przed

¹Np. „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Die Zeit”, „Die Welt”, „Süddeutsche Zeitung”, „Stern”, „Der Spiegel”, „Christ und Welt”, „Berliner Zeitung”, „Frankfurter Rundschau” i wiele innych.

²O kontrowersjach w literaturze niemieckiej pisano przede wszystkim w Ameryce na łamach takich gazet, jak: „New York Times”, „Times Literary Supplement”, „The New York Book Review”.

utrata literackiej niezależności i zbyt dużym wpływem wszechobejmującej kultury zachodniej. Przede wszystkim chodzi jednak ostatecznie o pytanie, czy wiodący pisarze wschodnioniemieccy, podpierając się autorytetem, jaki mieli w swym kraju, nie tworzyli ugodowej literatury, która mimo brzmiającej wątko i nieśmiałej krytyki, przyczyniała się w gruncie rzeczy do popierania i stabilizowania systemu i państwa o niedemokratycznym ustroju?

Początki sporu

Początki wszelkich kontrowersji literackich sięgają 1987 r., kiedy to padły pierwsze publiczne oskarżenia skierowane przeciwko Christie Wolf. Autorami tych ataków byli Marceli Reich-Ranicki oraz Hans Noll. Już wtedy zarzucili oni pisarce, że pracowała dla dobra systemu, o którego amoralności dobrze wiedziała, a przez swe ugodowe nastawienie oraz tendencyjną krytykę stosunków panujących w Niemczech Zachodnich skompromitowała się jako pisarka i intelektualistka, zaś pod względem politycznym okazała się osobą niewiarygodną i tchórzliwą. Zarówno Noll jak i Reich-Ranicki użyli już wówczas wobec niej określenia „Staatsdichterin” (pisarka państwowa), sugerując w ten sposób jej ugodową postawę wobec systemu totalitarnego.

Spór rozgorzały w czerwcu 1990 r. miał więc swe początki dużo wcześniej, lecz przyczyną tego, że nie wzbudził wtedy takich emocji jak 3 lata później, była inna sytuacja polityczna. Dopiero gdy zjednoczenie Niemiec stało się faktem, krytycy i pisarze zapytali zgodnym chórem: was bleibt? czyli – co pozostanie? Taki też jest tytuł opowiadania Christy Wolf, od którego wszystko się zaczęło.

Powstałe w lecie 1979 r., a w listopadzie 1989 r. na nowo opracowane opowiadanie o wzbudzałym zainteresowaniem tytule „Was bleibt” przedstawia jeden dzień

z życia pewnej pisarki (do złudzenia przypominającej Christę Wolf), która znajduje się pod stałą obserwacją służby bezpieczeństwa STASI. Posługując się techniką wewnętrznego monologu autorka konfrontuje nas z przemyśleniami i odczuciami bohaterki opowiadania. W ten sposób dowiadujemy się o jej rozbiciu, bezsilności, zwątpieniu i zastraszeniu. Skazana na ciągłą obserwację, żyjąca w świadomości, że jej mieszkanie jest regularnie przeszukiwane, a rozmowy telefoniczne i korespondencja stale kontrolowane, popada ona w stan wewnętrznego marazmu i histerycznego strachu. Jednocześnie, zastanawiając się nad swoim życiem, przyznaje się przed sobą do błędów, słabości i tchórzostwa. Nie ukrywa również swego zawstydzenia wobec młodej buntowniczej pisarki, która w związku z jakąś aferą na uniwersytecie trafiła na rok do więzienia, a gdy na jej autorskim odczycie pada pytanie o przyszłość, odpowiada bezsilnym milczeniem.

Spór w 1990 r. „Was bleibt” – ataki i obrona

Jeszcze przed opublikowaniem opowiadania 1 VI 1990 r. w „Die Zeit” ukazały się dwie recenzje: Ulricha Greinera, skierowana przeciw Ch. Wolf, i Volkera Hagego, broniąca autorki i jej opowiadania. Już 2 czerwca do poprzednich artykułów dołączył się Frank Schirrmacher ze swoją ostrą recenzją przeciw Christce Wolf. W ten sposób został sprowokowany wielki spór literacki.

W początkowej fazie sporu toczyła się, wywołana opublikowaniem „Was bleibt”, debata dotycząca Christy Wolf, potem problem rozszerzył się na rozliczenia polityczne, gospodarcze, społeczne itp., aby we wrześniu ponownie wrócić do kwestii czysto literackich, tym razem jednak pod postacią bardziej ogólnego pytania o los całej literatury niemieckiej w okresie powojennym.

Ogólnie rzecz ujmując, w sporze o Christę Wolf i jej opowiadanie można wyróżnić trzy zasadnicze kwestie.

Tak więc kontrowersje wzbudził czas wydania opowiadania, rzekoma rola Christy Wolf jako „Staatsdichterin” oraz wartość literacka jej twórczości.

CZAS WYDANIA. W swych recenzjach skierowanych przeciw Ch. Wolf zarówno Greiner jak i Schirmmacher nie czynią jej zarzutu, że nie opublikowała swego tekstu przed przełomem, ale uważają, iż czas wydania, tzn. 5 VI 1990 r., był zupełnie nieodpowiedni. Greiner twierdzi, że przed przełomem publikacja ta mogłaby być sensacyjna i pociągnęłaby za sobą prawdopodobnie koniec kariery Ch. Wolf jako „Staatsdichterin”, a może nawet jej przymusowe wydalenie z kraju. W sytuacji gdy reżim SED załamał się, a droga do zachodniej demokracji stała się otworem, opowiadanie wywołuje tylko przykre odczucia, podobnie jak wystąpienie pisarki z partii wtedy, kiedy nie pociągało to już za sobą żadnego ryzyka. Greiner posuwa się jeszcze dalej w swych ocenach i pisze: *To, że Christa Wolf trzymała ten tekst przez wiele lat w szufladzie, to jej sprawa, miała do tego prawo. To jednak, że opublikowała go teraz, świadczy o braku przyzwoitości wobec samej siebie i własnej historii, o braku wyczucia i taktu wobec każdego, którego życie zostało zrujnowane przez reżim SED.* Prawie identyczne argumenty przytacza również Schirmmacher w swym artykule opublikowanym we „Frankfurter Allgemeine” 2 VI 1990 r. Jego zdaniem książka ta 10–15 lat temu mogła poważnie zaszkodzić służbie bezpieczeństwa NRD. Teraz natomiast jest tylko śmiesznie anachroniczna i bez znaczenia. Obaj krytycy uważają czas wydania opowiadania za nieodpowiedni, ponieważ obaj traktują je jako sprawozdanie z nadzoru policyjnego w NRD i jego krytykę. W tym kontekście Greiner stawia pytanie: Co autorka chce nam przez tę książkę powiedzieć? i daje dwie możliwe odpowiedzi. Po pierwsze, chciała ośmieszyć całą politykę STASI, po drugie zaś, usiłowała przedstawić siebie jako ofiarę totalitarnego

systemu w stylu: „Spójrzcie na mnie rodacy, ja też byłam ofiarą, nie jestem pisarką państwową, lecz jedną z was!”

Obróńcami Ch. Wolf i jej opowiadania byli dwaj krytycy, Andreas Huyssen i Volker Hage, którzy dokładnie w tym samym czasie i na łamach tych samych gazet pisali swe recenzje. Huyssen, w przeciwieństwie do Greinera i Schirmmachera, traktuje opowiadanie Wolf jako ciekawe i wartościowe sprawozdanie-dokument ze sposobu funkcjonowania służby bezpieczeństwa i skutków zastraszania, tym razem nie typowej ofiary STASI, lecz wysoko postawionej przedstawicielki kultury NRD. Podobnie broni pisarki Hage pisząc: *Historia ta opowiada o tym, jak stały nadzór może zmienić człowieka i zagrozić jego całkowitym zniszczeniem*. Hage próbuje również bronić wartości literackiej utworu, stwierdzając lapidarnie, że *nie może ono przecież zależeć od daty wydania*.

ROLA CHRISTY WOLF JAKO „STAATSDICHTERIN”. Najwięcej chyba emocji i nie rozstrzygniętych kwestii wzbudziła dyskusja dotycząca roli Wolf jako „Staatsdichterin”. Najostrzejsze zarzuty przedstawił Schirmmacher na łamach „Frankfurter Allgemeine”. Twierdzi on w swej polemice, że literacka sława Wolf już dawno się przeżyła, a ona sama ośmieszyła się jako pisarka i osoba publiczna, popierając i propagując niesprawiedliwy i totalitarny system. W ramach dosyć swobodnych spekulacji wysuwa on przypuszczenie, iż Wolf zawsze błędnie utożsamiała społeczno-polityczne stosunki ze stosunkami rodzinnymi i w wyniku tego zrezygnowała z życia rodzinnego na rzecz państwa, niejako zastępując rodzinę przez państwo. Dlatego też, jego zdaniem, popierała reżim z wdzięczności. Po tych luźnych wywodach Schirmmacher precyzuje swoje postulaty, zarzucając Wolf, że jako pisarka i osoba publiczna nigdy nie krytykowała metod STASI, totalitaryzmu państwowego, roz-

kazów strzelania do uciekinierów, budowy muru berlińskiego, że pominęła milczeniem rozruchy robotnicze z 17 VI 1953 r. i wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji.

Huyssen, ustosunkowując się do roli politycznej Wolf, czyni ważną uwagę, pisząc, że należy rozróżniać polityczne wypowiedzi Wolf jako osoby publicznej od politycznego interpretowania jej utworów. Huyssen zarzuca Schirmmacherowi, iż ten w swych krytykach tendencyjnie pomija wiele aspektów, aby za wszelką cenę osiągnąć zamierzony cel, tzn. udowodnić drugi już po nazistowskim zawód, jaki sprawili nam intelektualści w tym stuleciu. Schirmmacher odczytuje „Was bleibt” jako wyraz udawanej postawy opozycyjnej i porównuje ją z etosem spóźnionego oporu przeciw faszyzmowi, który rzekomo odbił się na całej zachodnioniemieckiej literaturze powojennej. Hage postuluje natomiast całkowite zwrócenie się w stronę literatury i ostre rozgraniczenie fikcji literackiej od życiorysu autora. Według niego cechą prozy Christy Wolf jest *trudność wypowiadania się we własnym imieniu* oraz pewna niezdolność przedstawiania rzeczy takimi, jakimi one naprawdę są. Pytanie ja narratorskiego z „Was bleibt”: *Czy nie powinnam była opisać tych wszystkich obrazów, które we mnie powstały z większą wyrazistością i bezwzględniej wobec mnie samej?* – jest według Hagego pytaniem literatury, która nie chce się już zadowolić fikcją i maskowaniem się. Ostatecznie zaś stwierdza, że pisarz nie musi na co dzień grać roli bohatera oraz że pisarze są zazwyczaj o wiele mądrzejsi w swoich tekstach literackich niż w życiu, natomiast obowiązkiem czytelników jest skoncentrowanie się przede wszystkim na literaturze.

WARTOŚCI LITERACKIE TWÓRCZOŚCI CHRISTY WOLF. Żadna z wyżej omówionych kwestii spornych nie była rozważana przez krytyków z tak dużą dozą ironii i nie przyniosła w rezultacie tak sprzecznych ocen, jak pyta-

nie o wartość literacką dzieł Ch. Wolf. Niewątpliwie do najbardziej ironicznych wypowiedzi na ten temat można zaliczyć recenzję Greinera. Jego zdaniem Wolf odniosła sukces literacki dzięki swemu pięknemu językowi, typowym dla jej prozy rozmytym relacjom między rzeczywistością a fikcją literacką. Również w opowiadaniu „Was bleibt” unika ona każdej konkretyzacji, operując przybliżeniami i niedopowiedzeniami. Ostatecznie krytyk nazywa pisarkę ironicznie *malarką idylli*, która potrafi nadzwyczaj zręcznie połączyć językową inteligencję z posępnym sentymentalizmem. Jeszcze dalej posuwa się Schirrmacher pisząc, że według niego opowiadanie to jest sentymentalne i niewiarygodne aż do granic kiczu.

Hage, utrzymując konsekwentnie swą linię obrony, przypomina jeszcze raz, że Wolf zyskała sławę dzięki swej pracy literackiej i pełnej artyzmu prozie, a nie przez polityczne hasła i publiczne wystąpienia. W centrum jej prozy stoi problem własnego „ja” i powątpiewanie w jego egzystencję. Stawiane pisarce zarzuty nie zdecydowania, sceptycznej i pełnej sprzeczności postawy, ciągłego poszukiwania, niepewnego badania rzeczywistości, poczucia strachu – stanowią w istocie grunt, na którym wyrosła jej literatura.

Z perspektywy czasu i nowych doświadczeń warto by spojrzeć na to opowiadanie i postać jego autorki w nieco inny sposób. Wielu twierdzi, iż w przypadku Ch. Wolf chodzi o coś innego niż próbę ratowania się przed zarzutami czy uchylanie się od krytycznego rozliczenia z jej rolą w państwie SED. Jej opowiadanie jest bowiem właśnie takim krytycznym rozliczeniem. To „Was bleibt” analizuje, opisuje i krytykuje przyczyny skromnego zaangażowania pisarki w opozycję literacką i polityczną, jej zamaskowanego milczenia, oraz jest odpowiedzią na zbyt częste kompromisy. W wielu miejscach tekstu obserwowana przez funkcjonariuszy STASI bohaterka prowadzi dialog z wewnętrznym głosem sumienia – *moim wewnętrznym cenzorem*. Bohaterka opowiadania jest więc poddana nie tylko zewnętrznej obserwacji, lecz

również pilnowana przez samokrytyczną instancję swego własnego „ja”, które nazywane jest w tekście partnerem, sędzią, towarzyszem. Na pytanie, kim jest ów towarzysz, otrzymuje odpowiedź: *Ty sama siostró. Do wewnętrznego dialogu dołączają się refleksje na temat owego „ja”:* *Ja sama. Kim było owo ja. Którą z wielorakich istot, z jakich się składam. Tą, którą mogłam rozpoznać? Tą, która chciała się oszczędzić? A może tą trzecią, która ciągle próbowała tańczyć tak, jak jej zagrali ci tam młodzi panowie?* Ta część siebie, która próbowała się podporządkować reżimowi SED, nie tylko nie jest pominięta i przemilczana, lecz z całą konsekwencją przedstawiona czytelnikowi, poddana ostrej analizie i krytyce. Bohaterka wyraża na koniec nadzieję, że kiedyś będzie w stanie uwolnić się od tej znienawidzonej części swej osobowości. W ten sposób wykreowana postać niezupełnie odpowiada podejrzeniom, jakoby autorka chciała się stylizować na ofiarę STASI lub bohaterkę oporu wobec przemocy państwowej. Jeśli Wolf przedstawia tu samą siebie, co w związku z licznymi podobieństwami pomiędzy bohaterką opowiadania i życiem autorki jest bardzo możliwe, to przedstawia siebie raczej jako osobę zastraszoną, przewrażliwioną, często zbyt ostrożną i unikającą konfliktów. Cechy te nabierają szczególnej intensywności, jeśli się porówna bohaterkę z młodą, buntowniczą pisarką. To w zetknięciu z odwagą i bojowością młodego pokolenia, doświadczona, odnosząca sukcesy i ostrożnie kalkulująca pisarka odczuwa nie ukrywane zawstydzenie. Atakujący Ch. Wolf mają w tym wypadku bardzo ułatwione zadanie. Wystarczy bowiem, że przepiszą tylko z „Was bleibt” krytyczne przemyślenia autorki o sobie samej. Pewne jest jednak, że jak dotąd żaden autor wschodnioniemiecki nie wyraził w swej twórczości w obliczu wydarzeń lat 1989-90 tyle smutku z powodu utraty dawnej nadziei i nie dokonał tak krytycznego i konsekwentnego samorozliczenia. Niestety fakt ten był i jest zbyt często pomijany w wypowiedziach wielu krytyków.

Nie idzie tutaj o Christę Wolf, ale o całą literaturę niemiecką

W krótkim czasie po zjednoczeniu, gdy euforia i radość z powodu niemieckiej jedności zeszły na plan dalszy, zaczęło się szerzyć ogólne niezadowolenie i poczucie zbytniej dominacji zachodnioniemieckiej. We wszystkich dziedzinach życia, szczególnie zaś w kulturze, dawna RFN jawi się wielu intelektualistom jako zwycięskie mocarstwo, próbujące zdeklasować nowe landy i pozbawić je własnej tożsamości. W atmosferze ogólnego rozgoryczenia krytykowanie najbardziej uznanej autorki NRD zostało odebrane jako próba udowodnienia zachodnioniemieckiej przewagi i wschodnioniemieckiej nicości na polu literatury. Dlatego też ataki na Christę Wolf wywołały u wielu wrażenie, że w ocenie Zachodu po załamaniu się komunistycznego państwa załamała się także cała literatura NRD. Opowiadanie Wolf było więc tylko małą iskierką, która zdetonowała od dawna już założony materiał wybuchowy. W gruncie rzeczy bowiem spór toczy się o coś więcej niż jeden tekst czy jedną autorkę. *Nie idzie tutaj o Christę Wolf* – pisał Wolf Biermann (opozycyjny poeta wschodnioniemiecki, który w 1976 r. został przymusowo wydalony z NRD) w jednym ze swoich artykułów, dotyczących tej debaty literackiej. Wolf była według niego tylko symbolem zaszłych zmian i wzbudzonych w ten sposób kontrowersji. Uwe Wittstock, krytyk zachodnioniemiecki, uważa wręcz, że spór ten w gruncie rzeczy nie toczy się o literaturę, lecz o jednostkowe rozliczenia z poszczególnymi życiorysami. Nazwiska pojedynczych pisarzy są przy tym tylko pojęciami zastępczymi. Wielu obserwatorów i uczestników debaty pokusiło się nawet o porównanie obecnego konfliktu z tym, jaki rozgorzał w Niemczech po nazistowskiej zawierusze. Porównanie to dotyczy szczególnie dwóch opozycyjnych stron konfliktu: pisarzy emigracyjnych z jednej strony i tych, którzy pozostali wówczas w Niemczech hitlerowskich. Na

pierwszy rzut oka schemat konfliktu wydaje się łudząco podobny. Również hasła, które w nim obecnie padają, przypominają słownictwo czasów powojennych. Mowa jest więc, tak jak wtedy, o *uporaniu się z przeszłością*, *niezdolności do żałowania*, o *jawnym oporze i wewnętrznej emigracji*, o *przytłumieniu*, o *relacji ducha i władzy*. Przemożna większość dyskutujących krytyków jest jednak zgodna co do tego, że takie porównanie jest w dzisiejszych czasach i sytuacji co najmniej nie na miejscu. Odkrywanie jakichkolwiek podobieństw sytuacji, osób czy treści jest czystą spekulacją i z pewnością nie wnosi wiele do rozstrzygnięcia kwestii spornych. Jednakże zaangażowani w konflikt dysydenci, którzy wyemigrowali na Zachód, nie mogą się powstrzymać od gorzkich zarzutów wobec tych, którzy pozostali. *Większość tych, którzy zostali, ciągle na nowo wydalała nas przymusowo z kraju przez swoje przemilczenia*. Słowa te Reiner Kunze, zmuszony do opuszczenia NRD 5 miesięcy po zesłaniu Wolfa Bermanna, w kwietniu 1977 r., skierował m.in. do Stephana Hermlina, a przede wszystkim do Christy Wolf. Zdaniem pisarzy, którzy przymusowo lub dobrowolnie opuścili NRD, spór, jaki wybuchł wokół osoby i twórczości Wolf, był konieczny, a oni sami świadomie wzięli w nim udział, traktując go jako *pierwszą rzeczywiście otwartą polemikę między intelektualistami obu systemów* – jak to określili Günter Kunert i Wolf Biermann.

W rozważaniach tych należy wziąć jednakże pod uwagę, iż ataki na Wolf nie pochodziły tylko i wyłącznie ze strony młodej generacji zachodnioniemieckich krytyków. Nie jest także zupełnie poprawne wyobrażenie, że intelektualści wschodnioniemieccy, będący ofiarami systemu stalinowskiego, tworzą jednolitą frakcję po stronie zachodnich przeciwników Christy Wolf. Jako przykład przywołać można tutaj postaci takich pisarzy, jak Lew Kopolew, Walter Janka czy z młodszej generacji Martin Ahrends, którzy gwałtownie zaprotestowali przeciwko zarzutom wobec Wolf. Ogólnie wszelkie

przeciwko zarzutom wobec Wolf. Ogólnie wszelkie próby jednoznacznego określenia w tym konflikcie ugrupowań opozycyjnych według schematów: dysydenci i ci, którzy pozostali w NRD, młoda generacja – stara generacja, zachodni – wschodni pisarze, prawicowi – lewicowi intelektualiści czy nawet męska – żeńska strona krytyków, napotykały znaczne trudności. Liczne wątpliwości, powstałe w wyniku sporu, wywodzą się z faktu, iż w czasie trwania dyskusji na ten temat zostały przełamane wszelkie schematyczne podziały na frakcje, a przedstawiciele różnych grup wiekowych, politycznych i socjalnych wykraczali niejednokrotnie w swoich przekonaniach poza ściśle określone granice swego pochodzenia czy przynależności. Pod tym względem spór literacki w Niemczech upodobił się do ogólnego przewrotu kulturalnego w tym kraju, który również nacechowany jest niejasnościami i nie rozstrzygniętymi bądź nierozstrzygalnymi kwestiami (dyskusje o przeszłości polityków, niejasnościach gospodarczych itp.).

W sporze tym należy sobie uświadomić dwa zasadnicze problemy. Dotyczą one politycznej roli intelektualistów oraz związku pomiędzy moralnością i estetyką.

Ch. Wolf stała się w procesie zjednoczenia obu państw niemieckich symbolem zastępczym całej lewicy, która mimo wypaczeń i załamывania się systemu państwowego wciąż jeszcze wierzyła w możliwość zrealizowania idei demokratycznego socjalizmu („socjalizmu z ludzką twarzą”) w samodzielnej, wolnej NRD. Debata wokół Wolf była więc tylko częścią większej dyskusji na temat stanowiska intelektualistów przeszłości i teraźniejszości oraz na temat win i zasług lewicowych intelektualistów, również zachodnioniemieckich, wobec totalitarnego, zbrodniczego reżimu.

Jednocześnie jednak cały ten spór okazał się po części anachroniczny. Czasy, w których znaczna część inteligencji w Republice Federalnej, w ramach trwających rozruchów studenckich, sympatyzowała z DKP (Niemiecką Partią Komunistyczną), identyfikowała się otwarcie

z socjalizmem i komunizmem, powołując się na Marksa i krytykując kapitalizm, minęły bezpowrotnie z końcem lat siedemdziesiątych. W latach osiemdziesiątych zainteresowanie intelektualistów i literatów przeniosło się wyraźnie od „antagonizmu między kapitałem i pracą” w kierunku takich zestawień, jak cywilizacja a natura, rozsądek a mit, kobieta a mężczyzna. W dyskusjach nie przywoływano więcej Marksa czy Lenina, lecz Michaela Foucaulta, Jacquesa Lacana lub Jacquesa Derridę. Hasła, jakimi zaczęto operować, to nie kapitalizm, imperializm czy socjalizm, ale modernizm, krytyka rozumu, postmodernizm i poststrukturalizm. Miejsce optymistycznego i utopijnego myślenia marksistowskiej filozofii historii zajęły apokaliptyczne wizje, ponuro przedstawiane w takich powieściach, jak „Die Rättin” Güntera Grassa czy „Kassandra” Christy Wolf. Właśnie w takiej atmosferze zostały na nowo przywołane dawno zapomniane dysputy na temat socjalizmu, wywołane pieriestrojką Gorbaczowa.

Warto przy tym zauważyć, że w ten sposób rozpoczęty spór, który pierwotnie miał za przyczynę konkretny tekst literacki, z biegiem czasu miał coraz mniej wspólnego z samą literaturą. W ramach prowadzonych dyskusji zaczęły się bowiem pojawiać kwestie czysto polityczne, pytania o teoretyczne dziedzictwo zachodnioniemieckich komunistów po załamaniu się socjalizmu i o nową sytuację skompromitowanych intelektualistów lewicowych w dawnej NRD. Dopiero w październiku 1990 r. cała dyskusja sprowadzała się do jednego zasadniczego punktu, tj. rozważań na temat estetyki, i w ten sposób niespodziewanie zmieniała dotychczasową orientację. Problem związku między estetyką i moralnością czy literaturą i społecznym zaangażowaniem przypomina dysputy literackie toczone w ciągu wieków w każdej niemal epoce literackiej. Jest to bowiem pytanie odwiecznie towarzyszące sztuce: Jaka literatura? Sztuka dla sztuki czy literatura zaangażowana?

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w literaturze niemieckiej wyraźnie zaznaczyły się dwie tendencje. Pierwsza z nich radykalnie podniosła postulat społecznej skuteczności i zaangażowania literatury, aż do całkowitego wyrzeczenia się sztuki jako takiej. Próba takiego określenia literatury spaliła na panewce i w ciągu następnych 20 lat całkowicie zmieniła orientację, mianowicie zaczęła pojmować literaturę jako estetycznie zupełnie autonomiczną dziedzinę i uwolniła ją od wszelkich zobowiązań społecznych.

W 1990 r., w ramach rozliczeń z literaturą NRD, na nowo podjęto dyskusję na temat roli pisarza jako moralisty. Schirmmacher i Greiner w swych artykułach z 1 VI 1990 r. zarzucili Chrście Wolf i innym lewicowym pisarzom moralną i polityczną winę, a potem podważyli również estetyczne walory twórczości Wolf. Nowe hasło zaczęło robić karierę – „Gesinnungsästhetik”, czyli „estetyka przyzwoitości”. Greiner, który wprowadził to pojęcie, wyjaśniał, iż sztuka nie może istnieć sama dla siebie, lecz musi się realizować w stałym związku ze społeczną moralnością i humanitarnymi celami. Estetyka ta żąda od sztuki zaangażowania się w walkę przeciwko faszyzmowi, klerykalizmowi, stalinizmowi itp. Takie pojmowanie sztuki, którą można by określić mianem zaangażowanej, cechowało literaturę uprawianą zarówno w NRD jak i w Republice Federalnej. Greiner nawiązał w ten sposób do artykułu Schirmmachera z 3 X 1990 r., w którym autor przepowiadał koniec literatury zachodnioniemieckiej. Artykuł ten nie miał na pozór nic wspólnego ze sporem wokół Wolf, jednakże nie przypadkowo zostali w nim zaatakowani najwięksi przeciwnicy Schirmmachera w tej debacie – Günter Grass i Walter Jens. Oni właśnie zostali nazwani lewicowymi przedstawicielami intelektualistów niemieckich, którzy od lat sześćdziesiątych do 1990 r. nadawali ton i kształtowali moralnie literaturę zachodnioniemiecką, która według niego od dawna się przeżyła i stoi właśnie w obliczu całkowitego upadku. Tak oto spór literacki w zjednoczonych

Niemcezech zupełnie oddalił się w październiku 1990 r. od swego pierwotnego źródła. To nie Christa Wolf znalazła się w centrum debaty, lecz cała literatura niemiecka okresu powojennego. W pewnym sensie ona sama i jej opowiadanie były od początku niezbyt odpowiednimi przedmiotami ataków, w których na przykładzie tej pisarki starano się udowodnić winę niemieckich intelektualistów wobec drugiego totalitarnego grzechu we współczesnej historii Niemiec. Jej osoba jednak nadawała się najlepiej jako przyczynek do rozpoczęcia tego sporu. Tylko biorąc Christę Wolf za punkt wyjścia debata ta mogła rozgorzeć z taką gwałtownością. To dzięki tematyce jej opowiadania i czasowi wydania mogła się ona stać odpowiednią pisarką, wokół której mogła się toczyć polemika. Tylko ataki na Wolf nie np. na Heinera Müllera, Hermanna Kanta, Stefana Heyma czy Stephana Hermlina mogły sprowokować tak zacięty odwet. Żaden z tych pisarzy nie znalazłby prawdopodobnie równie zaangażowanych obrońców.

Christa Wolf była w NRD najbardziej znaną i lubianą postacią ze wszystkich pisarzy wschodnioniemieckich, i to nie tylko dlatego, że reprezentowała socjalistyczne państwo, lecz dlatego, że będąc w ciągłym konflikcie z tym państwem stała się dla wielu wiarygodna w swych krytykach Niemiec Zachodnich. Z pewnością można jej osobiście współczuć w związku z atakami na jej osobę, jednakże nie na miejscu jest używanie określeń typu *kampania podżegania*, czy *program czarownicy*³. Christa Wolf jest osobą publiczną, a polemiki skierowane przeciwko niej były wolne od wszelkich niedyskrecji na temat jej życia prywatnego i od początku wykraczały w swych intencjach poza jej osobę. Polemika jest w końcu prawowitą formą każdej krytyki literackiej. Fakt, że początkowo była ona skierowana przeciw Wolf, jest dla niej niewątpliwie honorem, gdyż, jak stwierdził

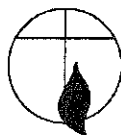
³ Określenia takie często padały w wielu recenzjach literackich.

kiedyś Lessing: *Nędzny pisarz nie zasługuje nawet na naganę, przeciętnego traktuje się z pobłażaniem, wobec wielkiego zaś jest się nieubłagany.*

Ostatni spór literacki w podzielonych i jednocześnie pierwszy w zjednoczonych Niemczech był konieczny, nieunikniony, twórczy i prowadzony w licznych artykułach na wysokim poziomie.

Christa Wolf milczała i milczy nadal. Przebywając obecnie na stypendium naukowym w Kalifornii, odmawia wszelkich wywiadów i unika jakiegokolwiek kontaktu ze środkami przekazu. Od 3 lat nie opublikowała żadnego tekstu, a na wszelkie ataki i zarzuty odpowiada niewzruszonym milczeniem.

Pomimo toczonych przez ponad 3 lata dyskusji trudno jest dzisiaj mówić o jakimkolwiek rozstrzygnięciu spornych kwestii. Jak oceniać tych wszystkich, którzy przez ponad 40 lat żyli i tworzyli w NRD? Czy mamy w ogóle prawo do tego typu ocen? Jak odbieraliśmy twórczość pisarzy i poetów wschodnioniemieckich przed zjednoczeniem, a jak zmieniły się nasze oceny po zjednoczeniu? Czy można łączyć życiorys pisarza z jego dziełem, czy raczej należy kierować się maksymą: *Te totum applica ad textum*? Czy zapomnieć uwikłanie w kontakty ze STASI Chrście Wolf, Heinerowi Müllerowi i wielu innym, kończąc w ten sposób z jednostkowymi rozliczeniami i otwierając nowy rozdział w literaturze? Pytania tego typu pozostały w wielu przypadkach nadal bez odpowiedzi i prawdopodobnie naiwnością byłoby oczekiwać jednoznacznych rozstrzygnięć. Pewne jest jednak, że zjednoczenie Niemiec zostało okupione dziwnym paradoksem – koniec politycznego rozdziercia pociągnął za sobą ostry rozłam literackiej inteligencji, który już od bardzo dawna nie miał miejsca w tym kraju.



450 lat po „De revolutionibus”

Z Wilhelminą Iwanowską, profesorem astronomii
USB w Wilnie i UMK w Toruniu,
rozmawia Andrzej Marecki

— *Pani Profesor, wiem że fascynuje Panią Mikołaj Kopernik i jego dzieło. Proszę powiedzieć, co sprawiło, iż spośród tylu wielkich postaci w dziejach astronomii właśnie ta jest Pani szczególnie bliska?*

— O, to długa historia. Urodziłam się w Wilnie. Od 1923 r. studiowałam na Uniwersytecie Stefana Batorego, tam się doktoryzowałam w 1933 r. i habilitowałam w 1937 r. pod kierunkiem prof. W. Dziewulskiego. Dodam jeszcze, że moje studia na USB rozpoczęły się zaledwie 4 lata po jego reaktywowaniu przez Józefa Piłsudskiego.

Była to uczelnia o wspaniałych tradycjach naukowych i kulturalnych. Pamiętam przecież, że założony w 1579 r. przez króla Stefana Batorego uniwersytet w Wilnie to druga wszechnica w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. O jego randze niech świadczą nazwiska takich znakomitości, jak Piotr Skarga (pierwszy rektor), Jakub Wujek (jego następca), Joachim Lelewel czy Jędrzej Śniadecki (chemik). W gronie wychowanków znaleźli się natomiast Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Józef I. Kraszewski. Ponadto, jak wszyscy pamiętamy, filomaci i filareci to przecież wileńska młodzież akademicka.

Astronomia na wileńskim uniwersytecie miała wspaniałe tradycje. Poczet wielkich astronomów otwierają Jan Śniadecki i Marcin Odlanicki-Poczobutt, założyciel pierwszego obserwatorium uniwersyteckiego w Polsce. (Tak, tak, Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego powstało dopiero jakieś 40 lat po wileńskim.) Nb. Odlanicki-Poczobutt, jezuita, królewski astronom Stanisława Augusta Poniatowskiego, był

członkiem królewskiego Towarzystwa w Londynie i Akademii Paryskiej.

Wojna i wyniki z niej przesunięcie granic Polski na zachód zmusiło pracowników USB – w tej liczbie i mnie – do opuszczenia rodzinnego miasta; inną możliwością była zsyłka na daleki wschód. Władze PRL chciały rozproszyć kadrę naukową uczelni po całym kraju w jego nowym kształcie terytorialnym, ale myśmy się buntowali. Po naradach w gronie profesorów, docentów i doktorów USB uznaliśmy, że nie możemy do tego dopuścić i że nie wolno nam zaprzepaścić wspomnianych tu tradycji wileńskiej Alma Mater. Za jedynie słuszne wyjście z trudnego położenia, w jakim znaleźliśmy się, uważaliśmy założenie w nowych granicach kraju nowego uniwersytetu – spadkobiercy i kontynuatora całej tej tradycji.

Nasz wybór padł na Toruń. I to nie tylko ze względu na skojarzenie dziedzictwa astronomów wileńskich z miejscem, gdzie urodził się nasz największy astronom. (Zresztą, prawdę powiedziawszy, nasza – tj. ówczesnych ocalałych astronomów wileńskich – „siła przebicia” była niewielka. Większość młodszych kolegów poginęła, czy to w niemieckich, czy sowieckich łagrach i zsyłkach i zostało nas zaledwie troje: prof. Dziwulski, ja i dr Szeligowski.) Również profesorowie innych specjalności optowali za Toruniem właśnie przez wzgląd na Kopernika. Jechaliśmy więc „na zachód” z mocnym postanowieniem, że osiadziemy nie gdzie indziej, tylko w Toruniu.

— *A więc miejsce urodzenia wielkiego astronoma było dla Państwa tym swoistym magnesem przyciągającym ku sobie i skłaniającym do założenia uniwersytetu właśnie tutaj?*

— Tak. Choć, szczerze mówiąc, moje pojęcie o wielkości Kopernika i jego dzieła nie wykraczało podówczas wiele poza to, co wiedzą wszyscy: wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię... Moje „odkrywanie” Kopernika zaczęło się ćwierć wieku później. Oto bowiem zbliżała się 500. rocznica jego urodzin. Spodziewaliśmy się przeto, że jako zawodowi astronomowie będziemy często indagowani o dane z jego życia i kulisy jego wiekopomnego odkrycia. Wypadało więc zatem dobrze się

przygotować merytorycznie do rocznicowych obchodów. Spółśób narzucał się sam. Postanowiliśmy po prostu starannie prze-studiować „De revolutionibus” i przedyskutować dzieło na specjalnym seminarium. Tak więc nie wertowaliśmy – obfitej zresztą – literatury o Koperniku, ale czytaliśmy samego Koper-nika: wszystkie 6 ksiąg „De revolutionibus”, zresztą w polskim już tłumaczeniu. W pracy tej bardzo nam pomógł prof. Dobrzycki. Działo się to przez cały 1972 r.

Otóż ta lektura i studia otworzyły mi oczy na „prawdziwego” Kopernika. Uświadomiłam bowiem sobie, że jego dzieło to nie tylko to z nim kojarzone: wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię. Oczywiście to było najważniejsze. Jego myśl uporządkowała nasze wyobrażenie o układzie planetarnym i utorowała drogę jego wielkim następcom: Keplerowi, Galileuszowi, Newtonowi, a może nawet, w pewnym sensie... Einsteinowi.

Ale było coś jeszcze, coś, co właśnie wtedy odczytałam wprost z kart „De revolutionibus”: Kopernik stwierdził miano-wicie, że wszechświat jest WIELKI, bardzo wielki, może nawet nieskończony. Z tym że, jak pisze, „pozostawmy tę sprawę filozofom przyrody”. I dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak ogromnego przewrotu on naprawdę dokonał. Oto przez 14 stuleci przed Kopernikiem obowiązywał geocentryczny model układu planetarnego Ptolemeusza, w którym to układzie wszechświat był bardzo mały, tzn. „kończył się” zaraz za sferą Saturna. Ptolemeusz nawet podał konkretną liczbę określającą jego rozmiar – około 20 tys. promieni Ziemi. Wprost śmiesznie mały, zwłaszcza jak na naszą dzisiejszą wiedzę! Dlaczego Pto-lemeusz właśnie tak to oszacował? Odpowiedź nie jest trudna. Otóż układ geocentryczny musiał być mały, ponieważ przy ewentualnie większych jego rozmiarach planety, a zwłaszcza Saturn, poruszałyby się z kolosalnymi prędkościami.

— *A jak do zagadnienia fizycznych rozmiarów wszechświata podszedł Mikołaj Kopernik?*

— By na to odpowiedzieć, pozwólmy tu sobie na krótkie streszczenie jego wywodu. Jak przystało na rzetelnego badacza, zaczął on od obserwacji. (Tu dodajmy od razu, że był niestru-

dzonym obserwatorem i swój model wywiódł właśnie z licznych obserwacji własnych i swych poprzedników.) Tak więc, obserwując położenia planet, nie poprzestał na stwierdzeniu, że planety kreślą na niebie pętle – on te pętle skrupulatnie mierzył. I wyciągnął dwa prawidłowe wnioski z tych pomiarów. Po pierwsze, ów ruch planet jest dlatego tak zakłócony, że stanowi wypadkową ruchu planety i Ziemi. Mars, Jowisz i Saturn zatrzymują się w swoim biegu z zachodu na wschód, po czym „cofają się” dlatego, że są wtedy wyprzedzane przez szybciej biegnącą po swojej orbicie Ziemię. Drugi wniosek jest genialną konsekwencją pierwszego: wielkość drogi przebywanej przez planetę w pozornym ruchu wstecznym, czyli długość obserwowanej pętli, jest odbiciem rozmiaru jego orbity. To z kolei pozwoliło Kopernikowi ustalić właściwą kolejność planet według odległości od Słońca. Jest to ogromne osiągnięcie Kopernika; Ptolemeusz uchylał się od zajęcia stanowiska w tej kwestii.

Pojawia się jednak ważna trudność. Oto bowiem gwiazdy, będące rzekomo w bliskim sąsiedztwie orbity Saturna, też powinny podlegać temu ruchowi, tego zaś nie obserwuje się. Dlatego np. Tycho Brahe nie uznawał teorii heliocentrycznej. Tymczasem Kopernik stawia śmiałą hipotezę: gwiazdy są bardzo daleko od Słońca, bez porównania dalej niż planety. Ich, jak to fachowo mówimy, ruchy paralaktyczne są analogiczne do tych wykonywanych przez planety, tyle że niezmiernie małe. Tak małe, że po prostu nie do zmierzenia ówczesnymi metodami. A zatem tak jak geocentryczny wszechświat Ptolemeusza musiał być mały, tak Kopernikański, heliocentryczny – przeciwnie – musiał być bardzo wielki.

I to była dla mnie rewelacja.

Myślę, że i samego Kopernika poraziła wielkość odkrycia ogromu wszechświata, że była dlań objawieniem. I to w jak najbardziej religijnym tego słowa znaczeniu. Napisał bowiem: „Tak zaprawdę ogromne jest to boskie arcydzieło Istoty Najlepszej i Największej”. W tym jednym zdaniu zamyka się wielka szlachetność umysłu Kopernika: skrupulatność we wnioskowaniu, a następnie zachwyt nad pięknem wszechświata i wskazanie, skąd ten wszechświat się wziął – został stworzony przez Boga. Wszechświat jest wielki wielkością swego Stwórcy.

Tak więc wielkość Kopernika ujawniła mi się przede wszystkim przez wielkość dzieła jego życia – „O obrotach”. Lektura ta zostawiła na mnie niezatarte wrażenie. Nie była to zresztą lektura łatwa. Owszem, księga pierwsza, zawierająca ogólny wykład całej teorii heliocentrycznej, jest przystępna i – śmiem twierdzić – mógłby ją przeczytać każdy. Kolejne księgi „De revolutionibus” są jednak nader hermetyczne. Stało się tak, mówiąc najogólniej, za sprawą archaiczności warsztatu naukowego Kopernika. Przecież on nie znał rachunku różniczkowego; wynalazł go i zastosował dopiero Newton. Posługiwał się zatem tylko geometrią i trygonometrią. Aby wyłożyć swoje racje, musiał więc np. posłużyć się wielką liczbą rysunków. Karty jego dzieła są świadectwem wielkiego trudu tworzenia i heroicznych zmaganiń autora zmierzających do ścisłego przedstawienia nowej teorii.

A skoro już padło słowo „heroiczny”, to myślę, że ono w ogóle dobrze pasuje do postaci Kopernika. Pamiętajmy bowiem, że dane mu było pracować w warunkach dalekich od komfortu. Był obarczony ciężarem wielu obowiązków pozanaukowych. Przede wszystkim był przecież administratorem wielkich dóbr kapitulnych. A do tego był lekarzem. Zajmował się także ekonomią; tzw. prawo Greshama (o wypieraniu monety dobrej przez gorszą) jest de facto prawem Kopernika. Kiedy więc miał czas na uprawianie astronomii? No cóż, odpowiedź jest banalna – nocami, bo kiedyż obserwować planety i gwiazdy, jeśli nie nocami. Tylko pamiętajmy, że robił to kosztem czasu na odpoczynek po rozlicznych obowiązkach dziennych i całkowicie bezinteresownie. Wreszcie – zwróćmy uwagę na to, że nie parał się astrologią (w przeciwieństwie do niektórych krakowskich i włoskich profesorów, u których studiował).

I jeszcze jedno: proszę pamiętać o tym, jak niezmiernie prymitywnymi przyrządami Kopernik się posługiwał. Wynalazek lunety przynależy już do następnego stulecia. Jestem więc głęboko przekonana o tym, że Kopernik to po prostu godzien podziwu geniusz. Tylko umysł genialny mógł bowiem stać za tak wielkim przełomem poznawczym, dokonany w tak trudnych warunkach, przy użyciu tak prymitywnych środków.

A zatem, streszczając odpowiedź na Pana pierwsze pytanie, powiem tyle: darzę Kopernika wielką atencją za jego całkowite oddanie nauce na przekór innym, licznym obowiązkom. Połączenie geniuszu z ogromną pasją naukową, pracowitością i dbałością o rzetelność, to najkrótsza jego charakterystyka. Powiedziałabym wręcz, iż – biorąc pod uwagę tę heroiczną postawę Kopernika, myślę – zasługuje on na to, by mienić się patronem naukowców; przede wszystkim – co rozumiałe – astronomów, ale nie tylko.

— Powiedziała tu Pani o bezinteresowności Kopernika, o tym, że jego pracy naukowej, która doprowadziła do tak wielkiego odkrycia, a nawet, jak to Pani podkreśliła, do wielu odkryć, przyświecała szlachetna idea dążenia do poznania prawdy. Ujmując to we współczesnych kategoriach, dzieło Kopernika to, jak rozumiem, tzw. czysta nauka. Czy nie było jednak innych, nazwijmy to praktycznych, przesłanek? Przecież wiadomo skądinąd, że „Almagest” Ptolemeusza był coraz mniej dokładny w swoich przewidywaniach położzeń planet. Czy praca nad „De revolutionibus” nie miała też aspektu użytecznego, tj. stworzenia lepszego przepisu na przewidywanie zjawisk astronomicznych w układzie planetarnym?

— Tak, aspekt użyteczny też niewątpliwie miał miejsce, choć nie ustępował poznawczemu. W owym czasie było wielkie zapotrzebowanie na reformę kalendarza. O potrzebie tej mówili, rzecz jasna, przede wszystkim hierarchowie Kościoła i – co więcej – zwracali się m.in. właśnie do Kopernika o zajęcie się tym zagadnieniem i POPIERALI jego prace. Kopernik miał to na uwadze. Pisał bowiem w przedmowie swego dzieła: „Bo nie tak dawno, za Leona X, gdy na Soborze Laterańskim roztrząsano zagadnienie poprawy kalendarza kościelnego, pozostawiono je bez rozstrzygnięcia jedynie z tego powodu, że nie rozporządzano jeszcze dostatecznie dokładnymi pomiarami lat i miesięcy ani też ruchów Słońca i Księżycy. Od tego czasu, zachęcony przez znakomitego męża, ks. Pawła, biskupa Fossombrone, który wówczas tą sprawą kierował, zacząłem wyteżać umysł, by te rzeczy dokładniej zbadać”.

Jak Pan słusznie zauważył, model geocentryczny podówczas coraz bardziej rozmiął się z danymi obserwacyjnymi i – abstrahując nawet od kwestii, nazwijmy to, „ideologicznych” – nie pasował do rzeczywistości. Próbowano go więc ulepszać, rozbudowywać, słowem ratować za wszelką cenę, kosztem przejrzystości. Ów rosnący brak klarowności i elegancji był dla fromborskiego kanonika przesłanką do dokonania gruntownej przebudowy całego modelu układu planetarnego. Kopernik przeczuł, że łatanie starego modelu prowadzi donikąd, co najwyżej do dalszej jego komplikacji. Nowy model miał się odznaczać prostotą i harmonią, a o jego słuszności miała przesądzić jego wyższa dokładność, dająca się już wykorzystać praktycznie, np. do lepszej rachuby czasu. Droga, którą poszedł Kopernik, była nader ambitna: najpierw zrozumieć istotę zjawisk, potem wyciągać dalsze wnioski, w tym również praktyczne.

Mimo to znaleźli się „usłużni” ludzie, np. Osjander, który był, określając to współczesnym nam terminem, redaktorem pierwszego wydania „De revolutionibus”. Poprzedził on oryginalną przedmowę Kopernika swoją, nb. anonimową, w której dezawuował przesłanie autora i sprowadzał dzieło jego życia do rangi praktycznego, rachunkowego schematu. Wydawca posunął się jeszcze dalej: usunięto fragment książki pierwszej oraz zmieniono tytuł całego dzieła ze zwięzłego „O obrotach” na „O obrotach sfer niebieskich”. Niestety, Kopernik nie mógł już mieć na to wpływu i nie zdawał sobie sprawy z tej manipulacji. Pierwodruk „De revolutionibus” dotarł doń, gdy był już na łożu śmierci.

— *Właśnie, czy to fakt historyczny, czy może raczej legenda, iż Kopernik dosłownie tuż przed śmiercią miał jednak w rękę odbitkę swojego opus vitae?*

— No cóż, ostatnio historycy (np. prof. Biskup) powątpiewają przede wszystkim w prawdziwość tradycyjnie przyjmowanej daty jego śmierci, tj. 24 V 1543 r. Twierdzą mianowicie, że umarł nieco wcześniej, a 24 maja mógł mieć miejsce już jego pogrzeb. Tak czy inaczej wiadomo, iż Kopernik bardzo ciężko chorował przed śmiercią, do tego stopnia, że miał najprawdopo-

dobniej zaburzoną świadomość. Czy na łożu śmierci trzymał w ręku egzemplarz, czy nie, ustalić się nie da. Jedno wydaje się pewne: nie mógł już czytać i tym samym zauważyć manipulacji wydawcy. Biskup chełmiński Tidemann Giese, który nakłaniał Kopernika do napisania i opublikowania swojej pracy, protestował u wydawcy przeciwko dokonaniemu fałszerstwu, ale nadaremnie. Dopiero drugie, amsterdamskie wydanie „De revolutionibus” jest wierne rękopisowi Kopernika.

Nawiązując jeszcze do poprzedniego pytania, pragnę dodać, iż opracowane przez fromborskiego kanonika metody rachuby czasu były zastosowane jeszcze przed jego śmiercią do układania kalendarza.

— *Podsumujmy zatem: teoria heliocentryczna układu planetarnego została przez Kopernika udowodniona. Nie była to zatem jakaś spekulacja czy hipoteza. Hipotezą natomiast, której udowodnić nie mógł, pozostawała kwestia odległości do gwiazd.*

— Dokładnie tak. Kopernik był dostatecznie pewien swojej teorii opartej na rezultatach obserwacyjnych, tak że nie załamywał się brakiem „koronnego” dowodu na słuszność modelu heliocentrycznego w postaci zauważenia paralaks gwiazd. Postawił natomiast genialną hipotezę, o której tu już mówiliśmy, że paralaksy występują, tyle że są niemierzalne. Bo jakże inaczej, jak nie genialną, nazwać hipotezę, która została postawiona bez mała z 300-letnim wyprzedzeniem! Pierwsze pomiary paralaksy (dla Vegi – najjaśniejszej gwiazdy w Lutni) zostały bowiem dokonane dopiero w 1837 r. przez Wilhelma Struvego. Wtedy, w XIX w., technika obserwacyjna była zupełnie nieporównywalna z tym, czym dysponował Kopernik. Precyzyjne lunety pozwalały na pomiary położień gwiazd z dokładnością kątową do ułamków sekundy. Takiego też rzędu jest efekt paralaks gwiazdowych. Kopernik był więc bez szans ze swoimi przyborami o dokładności 10 000 razy gorszej. To, że paralaksy są tak subtelnym efektem, wskazuje, iż wszechświat według Kopernika był setki tysięcy razy rozleglejszy od Ptolemeuszowego. Kopernika możemy zatem uważać za prekursora kosmologii obserwacyjnej, gdyż to on miał śmiałość po raz pierwszy

powiedzieć coś, co można by zamknąć w postaci takiej oto sentencji: Wszechświat jest wielokrotnie większy, niż wam się wydaje. Po Koperniku taką sentencję wypowiedziano w języku nauki jeszcze parokrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy odkryto galaktyki (1926) i kwazary (1963). Skutek tych odkryć jest taki, iż według naszych współczesnych wyobrażeń wszechświat jest miliardy razy większy w porównaniu z wyobrażeniami Bessela czy Struvego, którzy przecież sięgnęli zaledwie do najbliższych nam gwiazd.

Popełniłabym tu jednak nieścisłość sugerując, że teoria heliocentryczna, a dokładniej ruch Ziemi wokół Słońca, nie miał wystarczających dowodów przed Struvem. Dowodu takiego dostarczył w XVIII stuleciu Bradley, odkrywając (1727-29) efekt tzw. aberracji światła. Żeby przypadkiem nie wpaść w formułę wykładu, powiem tylko dla wyjaśnienia, że najpopularniejsza, znana nam z powszedniego doświadczenia analogia aberracji światła, to nasze – podświadome zresztą – zachowanie, gdy musimy biec z parasolem w ulewnym deszczu. Co wówczas robimy?

— *Pochylamy parasol zgodnie z kierunkiem, ku któremu zmierzamy.*

— Właśnie, ponieważ w naszym układzie odniesienia deszcz pada skośnie, nawet gdy „obiektywnie” pada zupełnie pionowo, i to tym bardziej skośnie, im szybciej się poruszamy. Podobnie muszą postąpić astronomowie obserwując gwiazdy „z pokładu” poruszającej się Ziemi, pochylając lunety ku jej orbicie. W zależności od położenia gwiazdy pochYLENIE to sięgać może nawet 20 sekund kątowych, a jego kierunek zmienia się w cyklu rocznym. Proszę zwrócić uwagę, że zjawisko odkryte przez Bradleya występuje w skali o dwa rzędy większej niż paralaksa, dlatego wyszło ono na jaw ponad 100 lat wcześniej i dlatego powszechnie się pisze, iż teoria kopernikańska czekała na potwierdzenie przez dwa, a nie trzy wieki. Jednak dopiero efekt paralaks Struvego potwierdził WSZYSTKIE przewidywania Kopernika. Samo zjawisko aberracji światła nie pozwala nam

bowiem wnioskować o rozmiarach zarówno orbity Ziemi jak i wszechświata.

— *Pani Profesor, skoro już doszliśmy do kwestii akceptacji teorii heliocentrycznej, to niepodobna przemilczeć stosunku Stolicy Apostolskiej do nowego porządku świata. Wspomniała już Pani o poparciu Kościoła, jakim Kopernik cieszył się za życia. Stereotypowo uważa się jednak, iż Kościół nieledwie potępił go. Prosiłbym bardzo o krótkie przypomnienie, jak to właściwie było z wciągnięciem „De revolutionibus” na indeks ksiąg zakazanych.*

— Przede wszystkim wypada mieć na uwadze, że Kopernik był człowiekiem głęboko wierzącym i dobrze znał Pismo Święte. Ale to jeszcze nie cała prawda. On po prostu uwielbiał Boga, zachwycał się Jego wielkością i wielkością Jego stworzenia. Piękno i harmonia wszechświata autentycznie go urzekały. A sprawcę tego piękna i harmonii jednoznacznie widział w Bogu. Ów zachwyt i uznanie dla Stwórcy są wszechobecne na kartach „O obrotach”.

Kopernik przyjaźnił się z bpem Tidemannem Giese i kilkoma innymi dostojnikami. Był przez nich namawiany i zachęcany do prowadzenia i publikowania swych prac, o czym już wspomniałam, ale może teraz poprę to cytatem z przedmowy do „O obrotach”, mającej, jak wiemy, postać listu do papieża Pawła III: „...mój serdeczny przyjaciel, biskup chełmiński Tidemann Giese, oddany z największym zapalem tak teologicznym, jak i wszystkim innym naukom szlachetnym (...) często mnie zachęcał i nieraz wśród gorzkich wyrzutów usilnie na mnie nalegał, abym to dzieło (...) wydał i pozwolił mu w końcu wyjść na światło dzienne”.

Do idei kopernikańskiej z entuzjazmem odnieśli się Galileusz i Kepler. Galileusz przez skonstruowaną przez siebie lunetę dostrzegł fazy Wenus dokładnie tak, jak wynikało to z modelu heliocentrycznego. Kolosalne wrażenie zrobił na nim Jowisz ze swoimi czterema wielkimi księżycami, który to układ jest niejako naturalnym modelem układu planetarnego według przewidywań Kopernika. Kepler z kolei, opierając się na idei Kopernika

oraz korzystając z bogatego zbioru obserwacji swego mistrza, Tychona Brahe, doprecyzował model heliocentryczny, zastępując kopernikańskie orbity kołowe, orbitami nieco spłaszczonymi – eliptycznymi.

Oficjalnie jednak Kościół odniósł się z rezerwą do teorii kopernikańskiej, aczkolwiek nie od razu. „*De revolutionibus*” zostało wciągnięte na *Index Librorum Prohibitorum* dopiero w 1616 r., co oznaczało, że zakazane było jego rozpowszechnianie jako rzeczy nie do końca sprawdzonej, ale nie studiowanie. Zwróćmy natomiast uwagę na to, iż protestanci – a były to przecież właśnie czasy reformacji – natychmiast odnieśli się wrogo do Kopernika i jego dzieła. Marcin Luter miał podobno powiedzieć o nim: „Ten szalony astronom sarmacki”. Podobnie Kalwin odrzucał kopernikanizm. Powód był bardzo prosty: protestanci byli zwolennikami absolutnie literalnego interpretowania tekstów Biblii.

Kopernik zresztą jakby przeczuł, że stanie się obiektem takich ataków. Zacytujmy jeszcze raz fragment z przedmowy „*De revolutionibus*”: „Być może znajdą się tacy, co lubią bredzić i mimo zupełnej nieznamości nauk matematycznych, roszcząc sobie przecież prawo do wypowiadania o nich sądu, na podstawie jakiegoś miejsca w Piśmie Świętym, tłumaczonego źle i wykrętnie odpowiednio do ich zamierzeń, ośmielą się potępiać i prześladować moją teorię. O tych jednak zupełnie nie dbam do tego stopnia, że sąd ich mam nawet w pogardzie jako lekko-myślny”.

A zatem w porównaniu z reakcjami protestanckimi stanowisko Kościoła katolickiego nie było przesadnie surowe. Pamiętajmy bowiem o tym, co już tu powiedzieliśmy, iż w księdze „*O obrotach*” był też element hipotetyczny – odległości do gwiazd. Wciągnięcie jej na indeks można zatem rozumieć jako wskazanie, że jest to dzieło nie prezentujące we wszystkich aspektach wiedzy zweryfikowanej. Na zdjęcie „*De revolutionibus*” z indeksu najwyraźniej wpłynęła weryfikacja dokonana przez Struvego, gdyż zbieżność czasowa jest tu wyraźna.

Ze sprawą „*De revolutionibus*” wiąże się oczywiście proces Galileusza – zapalonego propagatora kopernikanizmu. Jak pa-

miętamy, niedawno dokonano rewizji tego procesu i Kościół w osobie papieża Jana Pawła II zrehabilitował Galileusza.

— *A czy uważa Pani, że Kopernik też powinien być zrehabilitowany?*

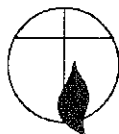
— Ja bym oczekiwała od Kościoła czegoś innego, choć – przyznam – nie miałabym odwagi przedstawić tego wprost papieżowi. Oczekiwałabym mianowicie... beatyfikacji fromborskiego kanonika. Uważam bowiem jego postawę i cnoty za heroiczne. W czasach Kopernika tak uparte dążenie do poznania prawdy, jak sam mówił „niemal wbrew powszechnemu przekonaniu”, wymagało nieprzeciętnej odwagi. Upatruję w nim idealnego patrona nauki i naukowców. Proszę mi wybaczyć, że darzę Kopernika wręcz kultem, ale pamiętajmy, że błóg. Jadwiga, założycielka Akademii Krakowskiej, też została beatyfikowana w odpowiedzi na spontaniczny, powszechny kult jej osoby. Więc może...

— *Pani Profesor, serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.*

— To ja dziękuję, ponieważ moją osobistą, wielką radością jest to, że doczekałam czasów, gdy wielki, kopernikański, tajemniczy wszechświat stał się przedmiotem obserwacji i badań radioastronomów toruńskich, do których Pan też należy.

Pragnę jeszcze dodać, iż mam ogromną satysfakcję, że idea utworzenia uniwersytetu pod patronatem Mikołaja Kopernika w jego rodzinnym mieście przybrała – po bez mała 50 latach – kształty i rozmiary takie, iż jest to najgodniejszy pomnik, jaki mogliśmy wystawić genialnemu astronomowi, twórcy ze wszech miar przełomowego dzieła „O obrotach”.

Toruń, wrzesień 1993 r.



W rocznicę kopernikańskiej rewolucji

Od 18 do 21 sierpnia 1993 r. w Toruniu odbywał się zorganizowany przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika II Zjazd Europejskiego Towarzystwa Astronomicznego. Towarzystwo to wyodrębniło się przed dwoma laty z Europejskiego Towarzystwa Fizycznego i skupia wielu wybitnych astrofizyków europejskich. Powodem, dla którego wybrano Polskę i Toruń, jest 450. rocznica śmierci Kopernika oraz zbiegająca się z nią rocznica pierwszego wydania „De revolutionibus”.

Na Zjazd przybyło około 150 uczestników z Zachodu i Wschodu Europy: z Włoch, Francji, W. Brytanii, Szwecji, Danii, Czech, Słowacji, Rumunii i Węgier. Dzięki dotacjom zagranicznych towarzystw naukowych można było także zaprosić astronomów z Rosji, Ukrainy, Estonii, Litwy i Łotwy. Oczywiście nie zabrakło astronomów z żadnego polskiego uniwersytetu, na którym ta dziedzina badań jest uprawiana, a ekipy z Warszawy, Krakowa oraz, rzecz jasna, Torunia należały do najsilniejszych.

Wiodącym tematem Zjazdu były najbardziej chyba frapujące, a przy tym najintensywniej dziś rozwijane działy astronomii, tj. astronomia pozagalaktyczna i kosmologia obserwacyjna. Obie te dziedziny zaistniały dopiero w tym stuleciu, a więc – na tle sięgającej odległej starożytności historii astronomii – całkiem niedawno. Stało się to za sprawą Edwina Hubble’a, który w połowie lat dwudziestych udowodnił obserwacyjnie, że tzw. mgławice to galaktyki – układy złożone nawet z setek miliardów gwiazd. Są one nierzadko ludzaco podobne do naszej rodzimej galaktyki; ta zaś widziana „od środka” jawi się nam jako Droga Mleczna.

Był to w astronomii przełom porównywalny chyba tylko z rewolucją kopernikańską. W jednej chwili bowiem znany nam wszechświat rozrósł się w trudny do wyobrażenia sposób, jako że odległości pomiędzy galaktykami po wielokroć przewyższały wszystko to, co dotąd myślano na temat jego wielkości. Co więcej, obserwacje Hubble’a wskazały na zaiste dramatyczną właściwość wszechświata – jego ekspansję objawiającą się ciągłą „ucieczką” galaktyk od siebie.

Taki materiał dowodowy dał nowy, silny impuls do spekulacji o naturze wszechświata jako całości. Dzięki najtęższym umysłom, jak choćby Einstein, spekulacje te, przybrawszy zmatematyzowaną po-

stać, wyemancypowały się do tego stopnia, że zaczęły w pełni zasługiwać na miano teorii naukowej – kosmologii. Nie koniec jednak na tym; to raczej początek nowego kierunku badań.

Jak wiadomo z historii nauk przyrodniczych, wzajemne oddziaływanie teorii i doświadczenia (fizyka) czy obserwacji (astronomia) stanowi o ich niezwyklej sile poznawczej oraz ich metodologicznej elegancji. Tak też stało się i tym razem. Lata sześćdziesiąte to czas wielkich odkryć o doniosłych implikacjach kosmologicznych. W naszej świadomości lokuja się nowe byty: reliktowe promieniowanie tła świadczące dobitnie o początku wszechświata i jego najbardziej archaiczne składniki materialne – kwazary. Nastal czas weryfikowania teorii kosmologicznych z obserwowaną rzeczywistością. Kosmologia teoretyczna doczekała się z dawna wyczekiwanego dopełnienia – kosmologii obserwacyjnej.

Od tego czasu w astronomii trwa właściwie permanentna rewolucja. Po ponad 50 latach skala odległości we wszechświecie została powiększona 10-krotnie w stosunku do tej, którą ustanowił Hubble. Postęp technologiczny, zwłaszcza w elektronice, pozwala na dokonywanie sensacyjnych odkryć niemal rokrocznie. Znana maksyma, że są rzeczy na ziemi i (zwłaszcza!) na niebie, o których się filozofom nie śniło, na polu astronomii zakrawa na banał. Strumień danych obserwacyjnych, przetwarzany i gromadzony przez niewiarygodnie szybkie i pojemne komputery, z jednej strony nie pozwala teoretykom na trwanie w beczynności, stanowiąc dla nich nie kończące się źródło inspiracji, a z drugiej surowo weryfikuje produkty ich przemyśleń.

Wydaje się, że postęp w technikach obserwacyjnych nie ma końca. Coraz śmielej sięgamy po informacje napływające z głębin kosmosu, a że jest on porażająco wprost wielki i zróżnicowany, to im lepiej i skuteczniej nastawiamy się na ich odbiór, tym szersze ujawniają się pola naszej ignorancji.

Mając na uwadze taki stan współczesnej astronomii, nietrudno się domyślić, że toruńskie spotkanie astrofizyków, jak każdy tego typu zjazd, było przede wszystkim dobrą okazją do dokonania przeglądu najnowszych wyników obserwacyjnych na polu astronomii pozagalaktycznej i kosmologii obserwacyjnej. Ale nie brakowało też na nim przyczynków teoretycznych, jak np. wykład prof. Novikowa o zderzeniach czarnych dziur.

Ze wszystkich doniesień na szczególną uwagę zasługują wciąż udoskonalane obserwacje relikowego promieniowania tła. W nim bowiem tkwi – jak się przypuszcza – klucz do rozwikłania zagadki wczesnego wszechświata, w którym kwazary, a potem galaktyki

miały się dopiero narodzić. Obserwatorów promieniowania relikтового zawsze frapowała jego doskonała izotropowość, czyli identyczny „wygląd” niezależnie od kierunku. W jakkolwiek bowiem stronę wszechświata kierujemy anteny radioteleskopów, zawsze odbieramy tę samą dawkę szumu, który zachowuje się tak, jak gdyby został wyemitowany przez ciało doskonale czarne o temperaturze niecałych 3 kelwinów (tj. 3 stopni powyżej zera bezwzględnego). Jednak z dociekań teoretycznych wynika, że izotropowość ta nie powinna być absolutnie idealna. Drobne „zmarszczki” na młodym wszechświecie odcisnięte na odchyłkach od izotropowości promieniowania tła, są „potrzebne” teoretykom do wyjaśnienia zgęszczeń materii we wszechświecie. Zgęszczenia te, dzięki grawitacji, możemy dziś podziwiać właśnie jako galaktyki.

Najnowsze obserwacje promieniowania tła prowadzone tak z Ziemi jak i z satelity COBE (COsmic Background Explorer) dały wreszcie upragniony wynik – stwierdzono odchylenia od izotropowości na poziomie stutysięcznych części stopnia. Chociaż wynik ten pochodzi sprzed ponad roku, wciąż jest to temat numer jeden naukowych debat astronomów i kosmologów. Nic więc dziwnego, że zdominował on tematykę zarówno oficjalnych referatów jak i kularowych rozmów. (Te ostatnie zresztą stanowią niepowtarzalną wartość naukowych sympozjów.)

A skoro padło tu słowo „radioteleskop”, to trzeba wspomnieć, że właśnie obserwatorium UMK jest w posiadaniu największego w Polsce takiego instrumentu – jego paraboliczne zwierciadło ma średnicę 15 metrów. Tym to właśnie przyrządem toruńscy radioastronomowie od 15 lat zgłębiają tajemnicę kwazarów i pulsarów. Ponieważ jednak radiowe obserwacje kosmosu, przynoszące tak wiele nowych informacji o najodleglejszych – a tym samym najstarszych rejonach wszechświata – stają się coraz bardziej wyrafinowane, zdecydowano się na budowę nowego, supernowoczesnego radioteleskopu o średnicy reflektora 32 m, zdolnego odbierać nie tylko fale decymetrowe i centymetrowe, ale także milimetrowe.

Obecnie budowa tego instrumentu wkroczyła w ostatnią fazę – montaż powierzchni lustra. Organizatorzy Zjazdu – a byli nimi właśnie toruńscy radioastronomowie – postanowili pochwalić się swoim nowym nabytkiem. Prezentacja teleskopu wzbudziła wyrazy uznania znacznie wykraczające poza zdawkowe uprzejmości. Zgromadzeni przy nim fachowcy zgodnie uznali, że są wielkie szanse po temu, by nowy radioteleskop stał się najlepszym instrumentem w tej klasie pomiędzy Renem a... wyspami japońskimi.

I jeszcze jedno wydarzenie warto odnotować – organizatorzy nie zapomnieli o tym, że nieomal powinnością zawodowych astronomów jest popularyzowanie wiedzy w tzw. szerokich kręgach społeczeństwa. Dlatego w pierwszym dniu Zjazdu odbył się publiczny wykład Virginii Trimble pod nie wymagającym komentarza tytułem: „Kosmologia – miejsce człowieka we wszechświecie”. Warto przytoczyć tu główne jego tezy, a zwłaszcza jego przesłanie. Oto one.

Dokonane w tym stuleciu odkrycia na polu astronomii pozagalaktycznej wskazują jednoznacznie na zasadniczy fakt: wszechświat miał wyraźnie określony początek. Był nim – jak mówimy – Wielki Wybuch. Jeśli nawet określenie to nie jest adekwatne do charakteru i skali zjawiska (a zapewne nie jest), to jedno jest pewne: nowo narodzony wszechświat był bardzo gęsty i gorący.

W takich warunkach łatwo zachodzą reakcje jądrowe. Efektem tych przemian są występujące do dziś najobficiej w całym wszechświecie: wodór, hel, neutrina oraz promieniowanie elektromagnetyczne od najbardziej twardego i nieprzyjaznego nam, jak promienie gamma i Roentgena, przez dobrze nam znane światło widzialne, aż po „łagodne” fale radiowe.

Materia we wszechświecie nie rozłożyła się równomiernie. I bardzo dobrze! Gdyby wszechświat był idealnie „rozproszkowany”, atomy znajdowałyby się tak daleko od siebie, że prawdopodobieństwo ich wzajemnego oddziaływania byłoby minimalne. One po prostu „nie wiedziałyby” o swoim istnieniu. Nie byłoby też nas, by o tym rozprawić.

Stało się jednak inaczej. Lokalne zgęszczenia materii były na tyle istotne, że grawitacja zaczęła swą konstruktywną działalność. Powstało całe mnóstwo odosobnionych obiektów, z których każdy jest utrzymywany w całości dzięki grawitacji. Najpospolitszymi takimi tworam, których setki miliardów możemy dzisiaj obserwować, są galaktyki. Materia w galaktykach ma też tendencje do skupiania się. Dlatego trwa w nich nieustanny proces formowania się gwiazd z galaktycznego pyłu i gazu.

Nasze Słońce jest doskonałym przykładem takiej przeciętnej gwiazdy. Powstało ono 5 mld lat temu i przetrwa w nie zmienionym stanie jeszcze przez następne pięć. O wiele bardziej dramatycznie wygląda życie gwiazd masywniejszych niż Słońce. Rzec by można, iż żyją one krótko, ale mocno, a swój żywot kończą spektakularnym wybuchem. Nazywamy to zjawisko pojawieniem się gwiazdy nowej lub – w większej skali – supernowej. Ów gaz i „gwiazdny pył” może podlegać grawitacyjnej kondensacji i dać początek... następnym pokole-

niom gwiazd. I tak np. skład chemiczny Słońca niedwuznacznie wskazuje na to, iż jest ono wytworzone – by tak rzec niefrasobliwie – z „surowców wtórnych”, tj. materii wstępnie przerobionej w poprzednim pokoleniu gwiazd.

Gaz i pył – obfitujący w takie pierwiastki, jak krzem, magnez i żelazo – stały się budulcem wnętrza Ziemi i skorupy ziemskiej. Woda i wszelkie molekuly zawierające węgiel skupiły się na jej powierzchni.

Początkowe warunki na Ziemi daleko odbiegały od tych, które znamy dziś. Przede wszystkim odmienny był skład atmosfery: nie było w niej tlenu, za to nie brakowało w niej dwutlenku węgla i węglowodorów. Brak tlenu oznacza także brak ozonu i swobodne przedostawanie się promieniowania nadfioletowego do atmosfery. I tu dochodzi do przełomowego wydarzenia w historii Ziemi: powstają wielkie cząsteczki organiczne – aminokwasy. Czy to w ogóle możliwe? spyta ktoś. Tak, możliwe. Sprawdzono to eksperymentalnie. Naświetlano mieszaninę wody i prostych węglowodorów nadfioletem i po dość długim czasie powstawały w takim środowisku duże cząstki organiczne. Po tylu „cudownych” zdarzeniach, wytworzenie się cząstek zdolnych do samoreprodukowania się czy molekuł DNA można doprawdy traktować jako prostą ich konsekwencję. Pamiętajmy bowiem o jednym – natura miała sporo czasu na eksperymenty. No a dalej była znana z biologii droga: od bakterii i pleśni do... nas samych.

Skoro to wszystko takie proste (?), to zachodzi pytanie zasadniczej wprost natury: czy jesteśmy sami we wszechświecie? Nie jest to wcale wykluczone, choć o potwierdzenie tego będzie bardzo trudno. Zważmy jedno: nasza galaktyka ma 200 mld gwiazd, z czego 10 mld jest uderzająco podobne do Słońca. Miliony z nich mogą potencjalnie mieć planety podobne do Ziemi. Procesy ewolucji wszechświata prowadzące do powstania życia na Ziemi wydają się tak uniwersalne i nieuchronne, że nie sposób odrzucić hipotezy o tym, że nie jesteśmy sami we wszechświecie.

Jeśli zatem zjawisko życia na Ziemi nie jest „cudowne”, ale raczej jawi się jako konieczność, to gdzie miejsce dla „cudu” istnienia? Otóż myślę, że jest się nad czym zadumać. Wszystkie bowiem zjawiska we wszechświecie dają się opisać za pomocą ośmiu parametrów F. Cztery z nich to podstawowe oddziaływania w fizyce: grawitacja, elektromagnetyzm (to on odpowiada za całą chemię!), oddziaływania jądrowe i oddziaływania słabe. Pozostałe cztery to wielkoskalowe własności wszechświata: jego wiek, gęstość, temperatura i jednorodność.

Gdyby nawet jeden z tych parametrów zmienić choćby o jotę, to nie byłibyśmy tu obecni, by móc o nim dyskutować i podziwiać go.

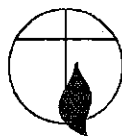
Co to wszystko razem znaczy? Nasuwają się następujące i niewykluczające się nawzajem hipotezy:

1. Bóg stworzył świat z wielką starannością. Tak poustawił jego parametry, że powstanie życia stało się możliwe.

2. Istnieje wiele wszechświatów, a tylko jeden lub kilka z nich charakteryzuje się takimi parametrami F , że powstanie życia opartego na reakcjach chemicznych jest możliwe.

3. Istnieją prawa wyższego rzędu niż prawa fizyki. Gdyby udało się je poznać i zrozumieć, może stałoby się oczywiste, dlaczego te 8 parametrów ma takie, a nie inne wartości.

Andrzej Marecki



Notatki na marginesie

Dlaczego Niemcy nam sprzyjają (i czy możemy im ufać)?

W latach sześćdziesiątych Nikita Chruszczow zapowiedział, że ZSRR do 1970 r. przewyższy w wysokości dochodu narodowego Stany Zjednoczone. Prorocstwo nie bardzo mu się udało. Mamy rok 1994, a dochód narodowy ZSRR nie istnieje już nawet jako pojęcie, bo nie ma ZSRR. Ale gdyby nawet udało się zsumować dzisiaj dochód narodowy Rosji i pozostałych republik, które wchodziły dawniej w skład ZSRR (trudne to zadanie, bo statystyka też niemal przestała istnieć, no a przedtem była na ogół fałszywa), to prawdopodobnie okazałoby się, że ów zsumowany rezultat wynosi mniej niż połowa dzisiejszego dochodu USA. Tak więc Chruszczow nie był prorokiem ani we własnym kraju, ani w cudzych.

Również władcy Polski w tamtych latach nie okazali się wiarygodnymi prorokami. Ogłosili w pewnej chwili, że Polska przewyższyła poziomem rozwoju Włochy i zbliża się do Francji. Na papierze polski rozwój wyglądał równie imponująco jak hodowla królików założona przez bohatera znanej powieści Ilii Ehrenburga pt. „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca”. Rzeczzone króliki w sprawozdaniach przesyłanych przez Rojtszwańca władzom zwierzchnim rozmnażały się z prędkością iście piorunującą. Podobnie było z danymi dotyczącymi Polski. Dziś, kiedy rozmawiamy z Unią Europejską na temat przyszłego członkostwa Polski, wszystkie dane wskazują, że pod względem produkcji przemysłowej i rolniej, infrastruktury, usług, handlu zagranicznego i wszelakich innych parametrów Polska nie tylko nie wyprzedziła Włoch i nie zbliża się do Francji, lecz pozostaje w tyle za Grecją, Hiszpanią, a nawet Portugalią.

Po czterdziestu pięciu latach mnożenia królików metodami centralistyczno-nakazowymi Polska jest bardziej w tyle za tymi krajami niż przed 1939 r. (dotyczy to zwłaszcza Hiszpanii, o Włoszech już nie wspominając). Dziś można mieć wszelako nadzieję, że jeśli tempo rozwoju gospodarczego Polski, które ujawniło się w ostatnich dwóch

latach, utrzyma się – to być może odstęp między Polską a najuboższymi krajami Wspólnoty znacznie się wreszcie zmniejszać.

Lecz aby to osiągnąć, potrzebne jest nam włączenie w skład Wspólnoty, dostęp do jej rynków, technologii i zasobów finansowych. Jest nam to potrzebne nie tylko z powodu korzyści gospodarczych, lecz również z innego, jeszcze ważniejszego powodu – z uwagi na bezpieczeństwo kraju.

Są to sprawy aż banalne w swej oczywistości, a jednak nie przez wszystkich w pełni rozumiane. A przecież każdy, kto wie coś o historii Polski, wie również, że zagrożenie, jakie przez ostatnie 300 lat wynikało z naszego położenia między Rosją a Niemcami, może być zażegnane tylko przez uczestnictwo w szerszym organizmie zintegrowanej Europy. Europy silnej gospodarczo i militarnie, liczącej ponad 300 mln mieszkańców i mającej większy dochód narodowy niż jakikolwiek inny organizm państwowy na świecie.

Europy, w której skład wchodzi również Niemcy, sprzymierzonej z największą potęgą współczesnego świata – Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

Tylko w ten sposób można zapewnić Polsce trwałe bezpieczeństwo i raz na zawsze usunąć możliwość powtórzenia się takiej konfiguracji politycznej jak ta, która najpierw spowodowała trzy rozbiory Polski, potem przez cały XIX w. uniemożliwiała Polakom odzyskanie niepodległości, a wreszcie doprowadziła w 1939 r. do największej polskiej katastrofy narodowej. Konfiguracji, której istotą było podwójne oskrzydlenie Polski przez silniejszych sąsiadów od wschodu i od zachodu.

Taki jest nasz wielki cel narodowy. Jego realizacja jest trudna, ale możliwa. Tak się bowiem szczęśliwie składa, że naszymi sojusznikami na drodze do osiągnięcia tego celu są zarówno Niemcy jak i Wielka Brytania oraz spora część pozostałych krajów Wspólnoty, choć nie wszystkie. I że również w Stanach idea włączenia Polski w skład zachodnich instytucji powoli, ale wyraźnie zyskuje na znaczeniu.

Wielka Brytania jest skłonna popierać nasze starania ze względu na to, jak pojmuje ona swoje interesy we Wspólnocie. Brytyjczycy obowiązują się, że Wspólnota może zostać zdominowana przez swoich małych członków (takich jak Dania, Austria, Luksemburg, Finlandia, Malta itd.). Ci mali mają bowiem, według obowiązujących obecnie zasad, relatywnie większe prawa przy podejmowaniu decyzji wewnątrz Wspólnoty niż duzi. Wynika to ze skomplikowanego sposobu obliczania liczby głosów przysługujących poszczególnym krajom w zależności od liczby mieszkańców. Najkrócej mówiąc na jeden głos

w europejskiej radzie ministrów przypada o wiele więcej Niemców (8 mln), Brytyjczyków, Francuzów, czy Włochów niż Portugalczyków, Holendrów, nie mówiąc już o Luksemburczykach (mniej niż 200 tys). Brytyjczycy woliliby więc, aby przyszłe zasady głosowania były lepiej wyważone na korzyść krajów większych, a Polska jest – według miar europejskich – krajem nieco większym niż średni. Trzeba jednak otwarcie powiedzieć, że są to nieco sztuczne kalkulacje.

O wiele trwalsze i głębsze podstawy ma kalkulacja Niemców, którzy są głównym orędownikiem sprawy przyjęcia Polski, Czech, Węgier i Słowacji do Wspólnoty Europejskiej. Jest to okoliczność bardzo dla nas szczęśliwa, ponieważ Niemcy, będące największą europejską potęgą gospodarczo-finansową (jedną z trzech największych na świecie), są krajem, którego głos wielce się liczy po obu stronach Atlantyku. I kraj ten wielokrotnie zabrał już głos w tej sprawie. Zrobił to przede wszystkim kanclerz Kohl – i wypowiedział się wyjątkowo jasno, w sposób nie pozostawiający wątpliwości. Zrobił to też minister spraw zagranicznych Kinkel, minister obrony Rühe, sekretarz generalny NATO Wörner. Kontynuowanie tej polityki w przypadku wygrania wyborów zapowiedział kandydat na kanclerza z ramienia opozycyjnej SPD – Scharping.

Jakie motywy skłaniają Niemców do popierania idei przyjęcia krajów Grupy Wyszehradzkiej?

Jest tych motywów co najmniej sześć: trzy główne i trzy dodatkowe, na dalszym planie, ale też ważne.

A oto główne.

A) Chęć odsunięcia granicy europejskiej dalej na wschód. Oczywiście Niemcy, podobnie jak cały Zachód (a i my także), woliliby, aby w Europie nie było już żadnych sztywnych podziałów. Byłby to stan idealny. Ale Niemcy, choć nie zawsze w historii bywali takimi, są dziś na ogół realistami. Wiedzą doskonale, że nikt nie potrafi przewidzieć dalszego biegu wypadków na Wschodzie, a zwłaszcza w Rosji. Może jeszcze tak się zdarzyć, że Europa będzie musiała przywrócić (przynajmniej w pewnym stopniu) jakiś rodzaj chroniącej ją granicy. W takim zaś przypadku Niemcy wolą, by świat zapomniał o podziale, jaki niegdyś przebiegał przez Niemcy. Wolą być wewnątrz Wspólnoty, a nie na jej obrzeżu.

B) Nadzieja na korzyści gospodarcze. Tego punktu nie trzeba objaśniać. Niemcy mają długą, liczącą wiele wieków historię współpracy gospodarczej i kulturalnej z całym obszarem Europy Środkowo-Wschodniej. Dotyczy to w równym stopniu Polski, z którą

pokojowa i korzystna dla obu stron współpraca trwała znacznie dłużej niż wzajemna wrogość – o czym często się zapomina.

C) Chęć silniejszego związania Niemiec z całością Europy i z Zachodem. Jest to motyw, który silnie wpływał na myślenie i postępowanie twórców demokracji niemieckiej po II wojnie światowej. Chęć zakotwiczenia Niemiec wewnątrz szerszego organizmu europejskiego i atlantyckiego, tak by Niemcy stały się jego ważną i nieodzowną częścią, bardzo silnie oddziaływała na myślenie takich ludzi jak Adenauer, Erhard, Brandt, Scheel i wielu innych. Chodziło im zresztą nie tylko o to, by zapewnić Niemcom dobre miejsce, lecz również o to, by europejskość i związki z Zachodem stały się dla Niemców oczywistością i zasadą istnienia. Wszyscy oni pamiętali o niemieckiej historii. Dlatego tak wielu polityków niemieckich najwyższej rangi w okresie po 1945 r. konsekwentnie głosiło, że podstawą przyszłości Europy musi być pojednanie niemiecko-francuskie, a następnie niemiecko-polskie. Jest to wzgląd, który silnie oddziałuje również na myślenie obecnych niemieckich polityków demokratycznych.

Są też trzy motywy dodatkowe, które trudniej skonkretyzować, choć także mają poważne znaczenie.

Pierwszym jest wypływające z gorzkich doświadczeń historii przekonanie, że idea zintegrowanej Europy, nazwijmy to, po raz chyba pierwszy, Europą Zachodnio-Środkową, jest ideą dobrą, zapewniającą wiele różnych korzyści, a co najważniejsze – bezpieczeństwo. To przekonanie zostało głęboko utrwalone w najcięższych i najniebezpieczniejszych momentach zimnej wojny. I na nim opiera się istnienie demokracji w Niemczech.

Drugim jest pogląd, że budowa takiej Europy ostatecznie zniweluje i odsunie w przeszłość historyczne obciążenia Niemiec, które wciąż przecież istnieją, mimo że od lat II wojny światowej minęło już niemal półwiecze.

Wreszcie trzecim jest wciąż jeszcze żywe u wielu ludzi i w wielu kręgach w Niemczech poczucie winy i płynących z przeszłości zobowiązań, które nakazują demokracji niemieckiej opowiadać się za współpracą z sąsiadami. To poczucie jest w Niemczech wciąż obecne. Zdarzające się (jako jego przeciwieństwo) przypadki wstąpień elementów skrajnych, pojawiających się przecież nie tylko w Niemczech, nie dowodzą, że to poczucie znikło, lecz przeciwnie: że istnieje wśród wielu obywateli, przeciwko czemu buntuje się nieliczna, skrajna mniejszość.

* * *

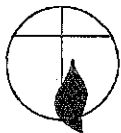
W dyskusjach na temat naszego dążenia do Wspólnoty Europejskiej i NATO słychać nieraz pytanie: Czy możemy ufać Niemcom? W odpowiedzi na to pytanie są dwa najważniejsze argumenty. Pierwszy: uzyskać trwałe poczucie bezpieczeństwa i pewność, że rok 1939 już się nigdy nie powtórzy, możemy tylko w związku z tymi instytucjami. Jeżeli pozostaniemy poza nimi, wtedy prędzej czy później nasza niepodległość zostanie podważona. Izolacja od Zachodu w połączeniu z całkiem dziś niewiadomymi losami przekształceń w Rosji będzie prowadzić do odtworzenia dawnych zagrożeń, z którymi sami – jak przekonująco dowiodła historia – poradzić sobie nie potrafimy i nie możemy. Chodzi więc właśnie o to, by w instytucjach europejskich znaleźć się obok i na równych prawach z Niemcami.

I drugi argument: pytanie, czy możemy zaufać Niemcom, jest pytaniem źle postawionym. Nie chodzi o to, by komukolwiek ufać. Bywa, że nie możemy zaufać nawet samym sobie. Chodzi o to, by – wiedząc, że w polityce nikomu ufać nie należy – przyczynić się do powstania takiego otoczenia i takiej rzeczywistości, w której nie musielibyśmy sami stawiać czoła podwójnemu zagrożeniu na obu naszych skrzydłach. Organizacje zintegrowanej Europy wsparte przez NATO istnieją m.in. po to, by chronić uczestników przed powtórzeniem się dawnych konfliktów między Europejczykami. Będąc ich członkiem będziemy mieli większe możliwości i będziemy nieporównanie bezpieczniejsi niż pozostając poza nimi i na uboczu.

Rozszerzenie zintegrowanej Europy ma również na celu osadzenie Niemiec w szerszym układzie gwarantującym sąsiadom zwiększone bezpieczeństwo. Rozumieją to na przykład Brytyjczycy i Francuzi. A także sami Niemcy.

Dlatego właśnie mówimy, że powstała obecnie dla Polski szansa, jakiej nie było od 300 lat. Jej wykorzystanie zależy przede wszystkim od nas samych. Na Zachodzie mamy w tym dziele wielu sojuszników, lecz najłatwiej zepsuć wszystko i zaprzepaścić możemy sami, ulegając fobiom, strachom i nie zrozumiałyszy ogromu stawki.

Kazimierz Dziewanowski



Czarna dziura w polityce

Historia końca XX w. jest brzemenna w liczne i zaskakujące wydarzenia – wojny (od klanowych po bez mała światowe, np. w Zatoce Perskiej), akty terroru, zbrodnie ekologiczne, epidemie (AIDS), klęski głodu. Czasami ma się wrażenie erupcji wulkanu, z którego wnętrza wydostaje się na powierzchnię gorąca lawa tłumionych namiętności, nienawiści, strachu. Konsekwencją postępującego zamętu jest rozpad stabilnego do niedawna świata. Do rozdartych konfliktami niektórych krajów peryferyjnych, np. Libanu i Afganistanu, dołączyły ostatnio republiki wchodzące w skład byłego ZSRR: walczące ze sobą Armenia i Azerbejdżan oraz pogrążone w wojnie domowej Gruzja, Mołdawia, Tadżykistan. Czy Europa, a więc centrum, jest wolna od tego rodzaju zagrożeń? Wojna w byłej Jugosławii, rozpad, na szczęście bezkrwawy, Czechosłowacji, spór Walonów z Flamandami w Belgii, aspiracje narodów (zwłaszcza Szkotów i północnych Irlandczyków) wchodzących w skład Zjednoczonego królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, postulaty podziału Włoch na trzy części – każą powątpiewać w stabilność Starego Świata. Z drugiej strony postępuje nadal, chociaż nie tak szybko, jak zakładano, europejska integracja. Od 1 I 1994 r. obowiązuje układ z Maastricht, obalający m.in. granice wewnątrz dwunastu państw Unii Europejskiej.

Który proces będzie postępował szybciej – integracji czy dezintegracji? Pożywką dla tej ostatniej jest absolutyzowana wolność i prawa człowieka, w tym także dla mniejszości etnicznych, skrzętnie przez nie wykorzystywane. Do niedawna przeciwwagą dla ruchów separatystycznych stanowiły partie centrowe, wyrażające interesy scentralizowanego państwa narodowego. Ostatnio ich pozycja dramatycznie osłabła kosztem separatystów oraz prawicowych i lewicowych radykałów. Dążenia tych ostatnich idą paradoksalnie na przekór dezintegracji, przyświeca im jednak idea centralizacji oparta nie na zasadzie demokratycznej, lecz autorytarnej.

Jakie są przyczyny rewolucyjnych zmian na mapie politycznej współczesnego świata? Cóż takiego wydarzyło się ostatnio, że nastąpił tak dramatyczny i powszechny kryzys zaufania do starej klasy politycznej? Jakie mogą być skutki transformacji sceny politycznej, a zwłaszcza pojawienia się czarnej dziury w wyniku porażek tradycyjnych partii środka?

Charakterystyczną cechą schyłku XX w. jest globalizm, przejawiający się tak w sukcesach jak i klęskach. Współczesne społeczeństwa trapią podobne choroby polityczne, pomimo lokalnych mutacji, np. wyjątkowej korupcji we Włoszech. Świadczą o tym identyczne objawy, bez względu na kulturę czy poziom rozwoju gospodarczego i społecznego. Najbardziej spektakularny zanik partii środka i podbój sceny politycznej przez nowe partie radykalne występuje we Włoszech. Przeprowadzone na początku grudnia ub.r. wybory do władz lokalnych ujawniły klęskę dotychczasowych partii rządzących: chrześcijańskich demokratów i socjalistów. Zwycięzcami zostali: w centrum i na południu kraju neokomunistyczna Demokratyczna Partia Lewicy (PDS) oraz neofaszystowski Włoski Ruch Społeczny (MSI), na północy separatystyczna Liga Północy (Lega Nord). Neokomuniści zwyciężyli w drugiej turze wyborów komunalnych, zdobywając wiele stanowisk burmistrzów, w tym w Rzymie i Neapolu. Neofaszyści przegrali tylko nieznacznie, a w Rzymie i Neapolu głosowało na nich ponad 45% uprawnionych. Na północy 40% wyborców opowiedziało się za Ligą Północy, jakkolwiek poza Lombardią nie potrafili nigdzie wygrać.

Na scenie politycznej Niemiec również występują istotne przetasowania. Wybory federalne odbędą się co prawda dopiero pod koniec 1994 r., ale w trakcie przeprowadzanych wyborów komunalnych w poszczególnych landach doszło do zaskakujących rozstrzygnięć, które są symptomem nowych procesów. Nie budzi zdziwienia ani klęska rządzących chrześcijańskich demokratów, ani sukcesy socjaldemokratycznej opozycji. Obie partie od lat walczą o władzę. Zaskoczeniem był sukces wyborczy neokomunistycznej Partii Demokratycznego Socjalizmu (PDS). W wyborach komunalnych w Brandenburgii PDS uzyskała 21,2%, wyprzedzając partię Kohla (20,5%), a ustępując jedynie socjaldemokratom (34,5%). We Frankfurcie nad Odrą neokomuniści zwyciężyli nawet SPD. W Poczdamie – Rudolf Kutzmutz, były działacz komunistycznej SED i współpracownik STASI, zdobył najwięcej (45%) głosów i dopiero w drugiej turze uległ koalicji SPD, CDU, FDP i Sojuszu 90/Zielonych. Skrajna prawica w ogóle się nie liczyła i zdobyła zaledwie jeden mandat radnego. Z tej obojętności na hasła neofaszystowskie trudno się w pełni cieszyć, zważywszy na fakt, że społeczeństwo wschodnioniemieckie udziela tak zdecydowanego poparcia partii neokomunistycznej (w Brandenburgii udało im się zdobyć fotele burmistrzów w 30 wsiach i miasteczkach).

Całą sprawę można bagatelizować, argumentując, że w innych krajach tradycyjny układ polityczny nadal funkcjonuje. Trzeba jednak

pamiętać o rosnących nieustannie wpływach partii radykalnych. W Austrii od lat osiemdziesiątych prowadzi ofensywę Jörg Haider, przywódca prawicowej Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ). W zorganizowanej na wiosnę ub.r. akcji zbierania podpisów pod petycją domagającą się bardzo restrykcyjnych ustaw o imigracji i cudzoziemcach uzyskał poparcie ponad 400 tys. osób, czyli około 7% uprawnionych do głosowania. We Francji nacjonalistów Le Pena blokuje ordynacja większościowa. Nie można również zapominać o faktach pozornie drobnych, ale symptomatycznych. We wrześniu ub.r. w Milwall – gminie dzielnicy Towie Hamlets, położonej niedaleko obserwatorium w Greenwich, zwyciężył kandydat faszystowskiej Brytyjskiej Partii Narodowej (BNP).

Do państw, w których ekstremiści prawicowi i lewicowi odnoszą spektakularne sukcesy, dołączyła ostatnio Rosja. W ostatnich wyborach parlamentarnych, pierwszych prawdziwie wolnych, co nie jest faktem bez znaczenia, jedno z pierwszych miejsc (78 mandatów) zajęła nacjonalistyczna partia Liberalno-Demokratyczna Władimira Żyrynowskiego. Program Żyrynowskiego podobał się szczególnie Rosjanom żyjącym w innych republikach, np. w Sewastopolu na Ukrainie liberalni demokraci zdobyli 67% głosów. Spektakularne sukcesy odnieśli również w zamkniętych obwodach wojskowych. Warto pamiętać, że tenże Żyrynowski w wyborach prezydenckich w 1992 r. zdobył prawie 8% głosów (ponad 6 mln). 12% (64 mandaty) uzyskała Partia Komunistyczna Gennadija Zjuganowa, a blisko z nimi powiązana Partia Agrarna Michaiła Łapszyna, grupująca przedstawicieli lobby kolchozowego przeciwnych prywatnej własności ziemi – 9,5% (55 mandatów).

Na Ukrainie umacnia się coraz bardziej prawicowa, paramilitarna Ukraińska Samoobrona Ludowa, a jej przywódcy twierdzą, że mają identyczny program jak Żyrynowski, z jednym wszakże wyjątkiem – wszystko ma być podporządkowane interesom Ukrainy. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać o silnej pozycji komunistów i neokomunistów z prezydentem Krawczukiem na czele.

Mówienie o nacjonalizmie i ekstremizmie w odniesieniu do Serbii stało się banalne. Neokomuniści Miloszevicia, popierana przez nich ekstremistyczna partia Zelijka Ražiatovicia – Arkana, zbrodniarza wojennego – i radykałowie Szeszelija zdominowali scenę polityczną i odnieśli sukcesy w ostatnich wyborach. Trudno się jednak cieszyć z utraty popularności Szeszelija i ograniczonego poparcia dla Arkana wobec faktu kolejnej klęski partii demokratycznych skupionych

wokół Vuka Draskovicia, na dodatek także sięgających po retorykę nacjonalistyczną.

W innych krajach bloku tzw. byłych demokracji ludowych triumfy odnoszą partie neokomunistyczne. Do Litwy dołączyła ostatnio Polska (wspominaliśmy już o sukcesach neokomunistów na terenach byłej NRD). Skrajne ruchy prawicowe nie odgrywają na szczęście większej roli, chociaż nie można zapominać o istnieniu takich ludzi, jak Istvan Csiurka na Węgrzech i Bolesław Tejkowski ze Stronnictwa Narodowego w Polsce, ani o sporadycznych aktach szowinizmu i antysemityzmu w obu krajach. W Republice Czeskiej również narastają tendencje rasistowskie. Wzrasta liczba organizacji rasistowskich i faszystowskich oraz aktów przemocy wobec osób innych narodowości. Co gorsza, w sytuacji, kiedy Cyganie stają się ofiarami napaści, społeczeństwo okazuje agresorom sympatię.

Zasadne staje się pytanie, czy w sytuacji ponownego wychylenia wahadła wyborczego nie nastąpi jego przesunięcie głęboko na prawo, w stronę ugrupowań antykomunistycznych, posługujących się metodami rewolucyjnymi i retoryką nacjonalistyczną.

Wspominaliśmy o rysującej się tendencji osłabienia politycznego centrum. Tradycyjne partie nie dają jednak za wygraną. W Polsce trwają próby zagospodarowania centrum, lecz nie ma żadnej gwarancji, że zakończą się sukcesem w świetle dotychczasowych dokonań i dojrzałości politycznej obecnych liderów Unii Wolności (UD i KL-D), Partii Konserwatywnej i innych. Działacze partii umiarkowanych również w innych krajach nie załamują rąk. Trwają próby odbudowy centrum we Włoszech. Katolicy usiłują powołać Partię Ludową i formację liberalnej demokracji. W Niemczech socjaldemokraci przygotowują się do przejęcia władzy w jesiennych wyborach. Nie można także zapominać o występującym równocześnie innym zjawisku politycznym – pojawieniu się partii nowej generacji. Największy rozgłos zyskały partie ekologiczne tzw. Zielonych. Do nowego kierunku zaliczyć można także Partię Posiadaczy Samochodów w Szwajcarii lub centrową grupę skupioną wokół Markusa Wegnera, byłego działacza niemieckiej chrześcijańskiej demokracji, która odniosła znaczący sukces wyborczy w Hamburgu. Czy odejście od kryteriów klasowych (prawica i lewica) na rzecz wartości bardziej pragmatycznych jest procesem trwałym, pokaże czas.

Najnowsze wydarzenia na scenie politycznej, nasuwają nieodparcie nieco banalne, chociaż adekwatne porównanie do czubka góry lodowej znacznie szerszego zjawiska – transformacji systemowej i cywilizacyjnej, która dotknęła liczne kraje tak Wschodu jak i Zachodu.

Przekształcenia w wielu dziedzinach życia pociąga za sobą, z jednej strony, kryzys tożsamości w wyniku utraty punktu odniesienia, jakim był stary system, z drugiej – poszukiwanie nowej tożsamości. Znajduje to swój wyraz w wyborach propozycji alternatywnych, jakiejś *antypolityki*, nie mieszczącej się w *oficjalnym kodzie politycznym*¹. Do głosu dochodzą tak nowatorzy jak i tradycjoniści. Ci pierwsi próbują szukać nowych rozwiązań, skupiając się wokół konkretnych problemów. Wspomniany M. Wegner proponuje współuczestnictwo i większą kontrolę nad politykami przez inicjatywy obywatelskie oraz referenda². Tradycjoniści przebrani w nowe stroje demokratów szukają winnych gdzie popadnie. Kozłami ofiarnymi stają się najczęściej ludzie obcy: Żydzi i cudzoziemcy. Od tych ostatnich najłatwiej się uwolnić zaostrażając politykę paszportową i uszczelniając granice, które oddzielają od siebie często pokrewne narody (casus Czechów i Słowaków). Idea państwa narodowego ciągle znajduje wyznawców, chociaż w trakcie europejskiej integracji stała się przedmiotem ostrych ataków ze strony zwolenników Europy regionów, a nie ojczyzn. Wizja regionu jest dość mglista i nie przemawia do ludzkiej wyobraźni. Warto przypomnieć, że państwo narodowe krytykowano już w okresie I wojny światowej, i to z dwóch kierunków. Francuski pisarz, laureat Nagrody Nobla w 1916 r., Romain Rolland uważał zasadę narodową za pogwałcenie praw bliźniego, przeciwstawiając jej federację narodów zbliżonych do siebie wspólnotą interesów (Szwajcaria)³. Przedstawiciele państw centralnych uważali, że państwo narodowe jest dla przyszłego świata jednostką zbyt małą. Ludzkości – argumentowano – potrzeba państw typu „Kulturstaat” i „Kulturimperium” na wzór Austro-Węgier i Niemiec, a także Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W Europie Środkowej widziano miejsce na „Kulturbund”, w którym Niemcy odgrywałyby decydującą rolę militarną⁴. Klęska państw centralnych wyzwoliła procesy zgola przeciwnie. Powstały nowe, małe państwa narodowe, chociaż wiele z nich zachowało charakter „Kulturstaat”, np. Czechosłowacja. W innych, np. Polska, liczny udział mniejszości etnicznych przyczyniał się do ich wielokulturowego charakteru.

¹E. Wnuk-Lipiński, *Cena społecznej rewolucji*, „Odra”, nr 6/1993.

²„Newsweek”, 25 X 1993.

³R. Rolland, *Dziennik z lat wojny 1914-1919*, Warszawa 1965, s. 152-153.

⁴Tamże, s. 63.

Upadek komunizmu w 1989 r. również wyzwolił podobne procesy dezintegracyjne. Powstały kolejne państwa i państewka narodowe kosztem imperiów i państw federalnych. Rozpadł się wszak nie tylko ZSRR, ale także Czechosłowacja i Jugosławia. Godzi się zaznaczyć, że proces dyferencjacji jest znacznie głębszy niż po I wojnie światowej. Czy zrównoważy go integracja Europy Zachodniej? W państwach wchodzących w jej skład występują oznaki procesów przeciwnych. Zagrożona jest jedność Belgii, od lat walczą o swej prawa Baskowie w Hiszpanii, wspominaliśmy o propozycji podziału Włoch i aspiracjach narodowych w Wielkiej Brytanii. Nie możemy zapominać o sytuacji na świecie. O swoją suwerenność walczą Kurdowie i Tamilowie. Inne punkty zapalne to Kaszmir i Pendżab w Indiach, Tybet w Chinach itp. Rozpad na coraz mniejsze ojczyzny, aby nie zagrażał pokojowi i stabilizacji, winien być równoważony postępującą budową struktur integracyjnych nie tylko ekonomicznych, ale także politycznych, zdolnych do przeciwdziałania lokalnym konfliktom. Ile na tym polu pozostaje jeszcze do zrobienia, wskazuje paraliż Unii Europejskiej wobec wydarzeń w byłej Jugosławii, obojętność na bezpieczeństwo państw z Grupy Wyszehradzkiej czy pozostawienie własnym losom nowych republik postsowieckich.

Niebezpieczeństwa płynące z separatyzmów i podziału świata na coraz mniejsze jednostki polityczne na wzór państw-miast w starożytnej Grecji, pogrążonych w wiecznych konfliktach, są na szczęście powszechnie uświadamiane. Znacznie gorzej wygląda sprawa z nową generacją czy mutacją ruchów faszystowskich i komunistycznych. Zazwyczaj są lekceważone, bo uważane za marginalne, lub wręcz przemilczane. Wielce symptomatyczna jest negatywna odpowiedź czołowych polskich polityków na pytanie postawione w ankiecie „Gazety Wyborczej”: Czy Europie Zachodniej i Środkowej zagraża bardziej faszyzm czy komunizm?⁵ Nikt nie widzi – zupełnie słusznie – większego niebezpieczeństwa w tradycyjnym faszyzmie i komunizmie. Zdumienie budzi natomiast zlekceważenie sukcesów wyborczych neokomunistów, którzy sprawują władzę w kilku państwach Europy Środkowej i Wschodniej i mają nadzieję na jej zdobycie przynajmniej w jednym kraju zachodnim (Włochy), oraz podążających ich śladem neofaszystów. Tak szybka kariera partii radykalnych dowodzi ich wielkiej zdolności adaptacyjnej i umiejętności wykorzystania ko-

⁵ „Gazeta Wyborcza”, 31 XII 1993 – 2 I 1994.

niunkтуры. Nie ulega bowiem kwestii, że zaspokajają realne potrzeby ludzkie.

Niezadowolenie ze społeczeństwa permisywnego, zbyt tolerancyjnego dla odmienności, sprawia, że wielu ludzi pragnie powrotu prawa i porządku, przywrócenia „naturalnego ładu społecznego”, odbudowy „narodowej tożsamości”. Oferta nowej prawicy jest szczególnie atrakcyjna dla ludzi niechętnie nastawionych do obcych, których napłynęło немало w latach otwartej polityki paszportowej. Świadczy o tym klimat nienawiści i przyzwolenia społecznego na działania ekstremalne, nawet zbrodnicze: podpalenia domów azylantów, napady na cudzoziemców, oraz codzienne akty wrogości rozpowszechnione w wielu krajach tak Zachodniej jak i Wschodniej Europy.

Neokomuniści żerują z kolei na nowej utopii społecznej: połączenia różnych stron kapitalizmu i komunizmu, czyli sprawnej gospodarki rynkowej, pełnego zatrudnienia, bezpieczeństwa socjalnego i paternalistycznej władzy partyjnej oligarchii. Sukcesy ułatwia mit dobrej komunistycznej władzy, w który, niczym mit dobrego cesarza i cara po I wojnie światowej, wierzy wielu ludzi w Europie Środkowej i Wschodniej. Niewątpliwie mit ten pomógł neokomunistom w przejęciu władzy. Czy nie będzie przeszkadzał w skutecznym jej sprawowaniu?

Warunkiem rozwoju ruchów politycznych jest napływ młodego pokolenia. Z tego punktu widzenia rokowania partii radykalnych są wyjątkowo dobre, wszak wielu ich członków i sympatyków rekrutuje się z młodzieży. Co przyciąga młodzież do neokomunizmu i neofaszyzmu? Czy winna temu jest recesja ogarniająca kraje Zachodu, obawa konkurencji ze strony ludności kolorowej i innych obcokrajowców? Czy też raczej poczucie wyobcowania i zagubienie wywołane postępującą transformacją cywilizacyjną, przechodzenie od fazy przemysłowej do informatycznej? Niektórzy komentatorzy, np. Neal Ascherson z „Independent”, zwracają uwagę na fakt, że na hasła neofaszystowskie są podatni ludzie młodzi cieszący się stosunkowo dużym bezpieczeństwem socjalnym⁶. Ascherson twierdzi dalej, że głównym motorem specyficznej mody na faszizm w Wielkiej Brytanii (tatuże, koszulki z flagi narodowej, muzyka niektórych zespołów rockowych) jest chęć przeżycia przygód, fascynacja przemocą, spełnienie sadystycznych marzeń, zyskanie poczucia identyfikacji z grupą. Znacznie ważniejsza wydaje się potrzeba autorytetu. Relacje pana

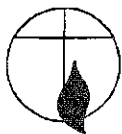
⁶ Za „Gazetą Wyborczą”, 24 XI 1993.

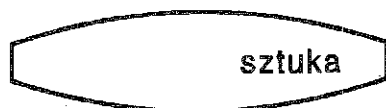
i niewolnika, wodza i drużynnika są rysem charakterystycznym nie tylko dla społeczności zniewolonych i zmilitaryzowanych, ale także dla wielu środowisk młodzieżowych, nie tylko z marginesu. W świecie dotkniętym kryzysem tożsamości tym bardziej gorliwie poszukuje się pewnych punktów odniesienia. Trudno zatem się zgodzić z opinią tych, którzy lekceważą upadek starych autorytetów⁷. Bardziej proroczą była hipoteza L. Kołakowskiego, który dowodził, że zanik autorytetów przyczynia się do samozatrucia otwartego społeczeństwa⁸. Jak pokazało życie, ich miejsce zajmują fałszywi prorocy i uzurpatorzy. Sukcesy „Mężów Opatrznościowych”, którzy pojawili się ostatnio na niwie politycznej (Ross Perot w USA, Władimir Żyrynowski w Rosji, a wcześniej nasz Stan Tymiński) oraz religijnej (Koresz w USA, Jurij Kriwonogow i Marina Cwigun w Rosji – Wielkie Białe Bractwo) świadczą o wielkiej tęsknocie za autorytetami, którym można oddać cenny dar wolności w nadziei uzyskania nie tylko politycznych, ale także duchowych (religijnych) przewodników w marszu przez coraz bardziej skomplikowany i niepewny świat. Jeśli guru współczesnej młodzieży będą się wywodzić spod znaku neofaszyzmu i neokomunizmu, może się okazać, że czarna dziura w polityce pochłonie niejedno ludzkie życie, a przyszli historycy będą się zastanawiać, dlaczego pod koniec XX w. ludzkość utraciła nagle poczucie rozsądku. I nie jest wcale pewne, czy przyjdzie im do głowy, że zadecydowała o tym wiara w cuda polityczne. Tak już bowiem jest na tym świecie, że im mniej ludzie wierzą w prawdziwych cudotwórców, z tym większym przekonaniem oddają się w niewolę szarlatanom i szaleńcom.

Jerzy Gaul

⁷B. Stanosz, *Smutek upadłych autorytetów*, „Odra”, nr 11/1993.

⁸L. Kołakowski, *Cywilizacja na ławie oskarżonych*, Warszawa 1990, s. 170 n.





**NAGRODA
IM. DANIELA
CHODOWIECKIEGO**

***Wystawa polskich
artystów grafików
i rysowników***

**Galeria Masztalni przy ASP
w Berlinie,
wrzesień – październik 1993
Muzeum Historii Miasta
Gdańska,
grudzień 1993 – styczeń 1994**

Nagroda im. Daniela Chodowieckiego dla polskiego grafika przyznana po raz pierwszy 12 IX 1993 r. na wystawie konkursowej w Berlinie, na którą nadesłało swoje prace 32 naszych artystów, została ufundowana przez niemieckiego pisarza, rysownika i rytownika Güntera Grassa. Jej laureatką została Magdalena Hoffmann-Dobrzycka z Krakowa. Impreza jest pomyślana jako coroczna prezentacja polskich grafików, a nagroda w wysokości 10 tys. marek – jako stypendium twórcze dla najwyżej ocenionego przez jury w danym roku uczestnika wystawy.

Idea zbliżenia narodów polskiego i niemieckiego przez wzajemne poznanie się przyświecała działalności Grassa od dawna. Wydarzenia

polityczne ostatnich lat w Europie Środkowej znacznie przyspieszyły tempo dążeń integracyjnych. Europejskość w sensie otwartości na kulturę innej nacji stała się wymogiem czasu. Zdaniem Grassa w przeszłości uosabiał ją wybitny artysta, do którego przyznają się obie nasze nacje – Daniel Chodowiecki. I jego Grass wybrał na patrona swojej fundacji.

Daniel Mikołaj Chodowiecki (1726-1801), Polak, syn gdańskiego kupca wykształcony w Berlinie i z miastem tym związany do końca życia, był ceniony jako ilustrator dzieł niemieckich klasyków i dokumentalista codziennego życia w dobie rokoka. Jako członek Królewskiej Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych, okresowo jej rektor i reformator, nigdy nie wypierał się swej narodowej przynależności. Był z niej dumny, jak świadczą jego słowa w jednym z listów: *...ich mache mir eine Ehre daraus ein wahrer Pole zu seyn.*

Na jego barwną opowieść o Gdańsku i ziemi kaszubskiej – ojczyźnie najbliższej, którą opuścił jako dziecko, a odwiedził jako człowiek dorosły w 1773 r., aby zobaczyć się z matką – składa się cykl rysunków i szkiców stanowiących wiernie i urokliwe świadectwo życia w tych stronach w ostatnich dziesięcioleciach rządów Rzeczypospolitej, w przededniu rozbiorów. Niezrównany w charakterystyce typów ludzkich tego etnicznie zróżnicowanego, bogatego miasta, w którym żyli obok siebie przez wieki Polacy i Niemcy, Holendrzy i Żydzi, w ilustrowaniu kaszubskich i pruskich wsi mijanych w czasie niespiesznej

konnej podróży, stał się po dwu wiekach dla niemieckiego artysty, również urodzonego w Gdańsku, przykładem Europejczyka.

Sam również był synem gdańskiego kupca, zmuszonym opuścić miasto rodzinne w dramatycznych okolicznościach. Jako 17-latek wciągnięty w wir wojny, uczestnik walk obronnych, dostał się w 1945 r. w głębi Niemiec do niewoli amerykańskiej. Drogę powrotną do domu odciał mu pojałtański porządek w Europie. Faktycznie z miastem rodzinnym nigdy się nie rozstał. W jego prozie, od „Blaszanego bębena” po „Wróżby kumaka”, tematyka gdańska i pomorska prze-wija się jako jeden z motywów przewodnich.

Pozostająca w ścisłym związku z literacką twórczością jego działalność plastyczna pozostawała długo w cieniu sukcesów literackich, choć w swych młodzieńczych planach pierwszeństwo przyznawał sztuce. W 1948 r. zapisał się na wydział rzeźby do Akademii w Düsseldorfie. Kuciem w kamieniu, modelowaniem w gipsie i odlewaniem w metalu rozpoczyna swoje zmagania z formą. Treści przeżyć i niespokojnemu temperamentowi najbardziej odpowiadał ekspresyjny realizm zadomowiony w tradycji niemieckiej od czasów Grünewalda i Dürera. Do tej tradycji odwołuje się jego twórczość rysunkowa i graficzna. Jeszcze w Düsseldorfie bowiem, pod wpływem profesora Otto Pankowa, artysty o zbliżonych, radykalnych poglądach pacyfistycznych, Grass zajął się grafiką warsztatową.

W 1953 r. przeniósł się na studia do Berlina w okresie *zacieklej walki*

między przedmiotową figuratywnością a nieformalną przedmiotowością – jak wspomina w swojej książce „Raport z pracowni”. Opowiedzenie się za figuratywnością przypłacił ignorowaniem jego osiągnięć przez krytykę. Rozgłos przyniosła mu literatura i zaangażowanie w trudne problemy współczesności. Jego głos zaczął się liczyć w światowych mediach.

Uznanie i sympatię w Polsce, wobec długo znikomej znajomości najgłośniejszych jego książek, których druk blokowała cenzura, zdobył dzięki udzieleniu poparcia tym siłom w SPD, które dążyły do nawiązania polsko-niemieckiego dialogu. Liczne jego podróże do naszego kraju, od 1958 r. począwszy, w tym również obecność w ekipie kanclerza Willy Brandta w czasie jego pamiętnej wizyty w Warszawie w 1970 r., godziły względy prywatne z dalekowzrocznym przeświadczeniem o konieczności przełamywania lodów i łagodzenia atmosfery wrogości między obolętymi po ostatniej wojnie narodami. Wraz z Karlem Dedeciusem należy do tych niemieckich twórców, którzy pracują na rzecz pojednania przez uprzytamnianie swoim rodakom ogólnoludzkich wartości naszej kultury.

Ten взгляд przesądził też o przyznaniu nagrody Daniela Chodowieckiego młodej artystce z Krakowa. Wybór nie był łatwy. Na wystawie znalazło się wiele prac grafików wybitnych, m.in. Kiejstuta Bereznińskiego, Aliny Kalczyńskiej, Włodzimierza Kunza, Jana Sawki, Henryka Wańka, Jacka Gaja, Andrzeja Piet-scha. Dwaj ostatni byli profesorami laureatki w krakowskiej ASP.

W imieniu jury Johannes Grücke określił prace Hoffmann jako świadectwo wrażliwości nie związane z konkretną nacją, ale wyrażające doświadczenia powszechne.

Tematem pięciu grafik Magdaleny Hoffmann jest cierpienie wpisane w egzystencję człowieka, ból i śmierć wpisane w kształt dziewczęcego i kobiecego ciała. Artystka przedstawia je w sposób aluzyjny i konkretny zarazem, po kobiecemu dbały o szczegóły, o precyzję form. Torsy dziewcząt ukazane za półprzezroczystą materią całunów (w pracach *Całun I i II*) oraz kobiece, osłonięte jakby drugą skórą sukni (*Tors I*), skrópowany bandażem (*Tors II*) lub z uniesionymi ramionami o skórze między piersiami porażonej i napiętej (*Tors III*) są naznaczone cierpieniem, którego źródło, jak się zdaje, tkwi w samej materii.

Wewnętrzna prawda tego przekazu przywodzi na myśl dzieła dawnych mistrzów: rysunkowy, przejmujący portret starej matki Dürera, późne malarstwo Rembrandta, ze sztuki nowszej – Soutina. W tych nikłych wymiarach pracach artystka osiągnęła wielkie skupienie i intensywność wyrazu. Zastosowanie starych technik graficznych: mezzotinty i miękkiego werniksu z charakterystycznymi, malarskimi ich możliwościami do tych, jak je sama nazywa *wypranych rysunków*, pozwoliło jej wydobyć kształty torsów z ciemnego tła za pomocą światła o niezwykle zróżnicowanej intensywności.

W osobie M. Hoffmann została uhonorowana w pewnym sensie cała krakowska szkoła grafiki. Odbywa-

jące się w tym mieście od 1966 r. Międzynarodowe Biennale Grafiki wywarło z pewnością niemały wpływ na poziom uprawianej tu sztuki. Nawiasem mówiąc w tych światowych spotkaniach artystów brali od początku udział i otrzymali nagrody także graficy z obu części podzielonych wówczas Niemiec.

Wystawie berlińskiej towarzyszył wzorowo wydany katalog w języku niemieckim. Ponieważ pokaz prac zaplanowano z góry także w Gdańsku, a miejmy nadzieję, że praktyka ta się utrzyma, należałoby sobie życzyć, aby następnej edycji Nagrody towarzyszył katalog dwujęzyczny. Celowe wydaje się także pokazanie wystawy w innych ważnych ośrodkach w Polsce. Na zdecydowanie większy rezonans bowiem ta berlińska wystawa w pełni zasługuje.

Krystyna Paluch-Staszkiel



wystawy

EUROPEJSKA ŚWIĘTA

Książęta i święci

Andechs (Niemcy)

lipiec – październik 1993 r.

Okolice jezior Ammersee i Starnbergersee są ulubionymi miejscami na krótkie wypady z pobliskiego Monachium. Pomiędzy nimi, około

200 m ponad ich poziomem, leży Andechs. Klasztor w Andechs to jedno z największych miejsc pielgrzymkowych Niemiec, corocznie odwiedza go prawie 1,5 mln osób. Duża część z nich przybywa tu w celach religijnych, część – w czyisto turystycznych. Ruch pielgrzymkowy do Andechs ożywił się szczególnie po II wojnie światowej, do czego przyczynili się w głównej mierze przesiedlenci ze Śląska katolicy niemieccy. Teraźniejszość Andechs jest wystarczająco kolorowa. Podobnie było w jego ponad 10-wiekowej historii, o której opowiada wystawa zorganizowana przez klasztor i Dom Historii Bawarii (polskimi kuratorami byli kard. Henryk Gulbinowicz, arcybiskup wrocławski i Janusz Reiter, ambasador Polski w Niemczech).

Kompleks klasztorny stoi na pozostałościach zniszczonego grodu rodzinnego książęcej rodziny Andechs-Meranier. Dzięki mądrej polityce zawierania małżeństw i ścisłym powiązaniom z dworem cesarskim, zwłaszcza z rodem Sztaufów, książęta Andechs-Meranier byli w XII–XIII w. najbardziej wpływową rodziną w południowych Niemczech. Za czasów księcia Bertolda IV (zm. 1204) cieszyli się największą świetnością. Jeden z eksponatów wystawy – gotycki ołtarz św. Jadwigi z kościoła bernardynów we Wrocławiu (obecnie Muzeum Narodowe w Warszawie) – przedstawia Bertolda IV i jego żonę Agnes w otoczeniu córek: Gertrudy (królowej węgierskiej), Agnes (królowej francuskiej), św. Jadwigi (królowej śląskiej), Mechthildy (przeorysz z Kitzingen), i wnuczki, św. Elż-

biety z Turynгии, oraz synów: Bertolda V (patriarchy z Aquilei), Ekberta (biskupa Bambergu), Ottona VII (księcia Meranii) i margrabiego Henryka IV. Tragiczny koniec rodu Andechsów nastąpił niespodziewanie w pałacu bpa Ekberta w Bambergu. 21 VI 1208 r., tuż po uroczystym ślubie Ottona VII z siostrzenicą króla Szwabii, Filipa, książę Otton z Wittelsbachów zamordował króla Filipa. Morderca został ujęty i zabity, ale podejrzenie padło również na Ekberta i Henryka. Obydwaj musieli uciekać i znaleźli schronienie u siostry na Węgrzech. Skonfiskowane posiadłości Henryka przeszły w ręce rodziny Wittelsbachów. W 1210 r. gród Andechs został zrównany z ziemią. Po paru latach obydwoj Andechsowie zostali zrehabilitowani, Ekbert mógł znowu sprawować swój urząd biskupi, ale margrabia Henryk już nigdy nie odzyskał swoich dóbr.

Wzrost i upadek rodziny Andechs-Meranier był tematem pierwszej części wystawy. Drugą część poświęcono życiu św. Elżbiety z Turynгии (1207–31) i św. Jadwigi Śląskiej (1174–1243). Szczególnym rarytasem był pochodzący z XIV w. tzw. Kodeks brzeski (własność Muzeum P. Getty, Malibu, Kalifornia). Kodeks zawiera najważniejsze źródła średniowiecznej hagiografii św. Jadwigi: *Legendę Maior i Minor*. Gdy Jadwiga osiągnęła odpowiedni wiek, rodzina wydała ją za Henryka I Brodatego, księcia śląskiego. Biografie świętej poświęcają wiele miejsca jej ascetycznemu życiu i trosce o ubogich. Jej wpływy i pole działania wychodziły poza obręb Śląska i nie ograniczały się tylko do zakładania klasztorów, przytułków

czy dzieł miłosierdzia. Na jej rolę polityczną wskazują m.in. fragmenty ornatu z klasztoru cystersów w Henrykowie (ok. 1250 r., własność Muzeum Diecezjalnego we Wrocławiu). Oprócz scen religijnych przedstawia on żonę księcia mazowieckiego, Konrada, i jej syna, księcia Ziemowita I. W wojnach z nadbałtyckimi Prusami Piastowie mazowieccy szukali sprzymierzeńców w Piastach śląskich. W 1229 r. doszło do konfliktu pomiędzy obydwoima rodami. Książę Henryk został pojmany przez księcia Konrada. Według legendy św. Jadwiga zrezygnowała z organizowania wyprawy zbrojnej, sama przedsięwzięła podróż pokojową na dwór Konrada i osiągnęła uwolnienie swego męża. Sporządzone na początku XIV w. drzewo genealogiczne Jadwigi jest jednym z głównych źródeł historycznych o śląskich Piastach.

U początków chrześcijańskiej Europy stoją święci. To zdanie bardzo często pojawiało się w artykułach w prasie niemieckiej w związku z rocznicą śmierci św. Jadwigi. Europa stała się chrześcijańska nie przez manifesty czy deklaracje, lecz dzięki zaangażowaniu znanych i nieznanych chrześcijan. Jadwiga, pełna temperamentu i głęboko wierząca kobieta, matka siedmiorga dzieci, nie zaprzeczała swemu księżęciemu pochodzeniu, lecz wypełniała je nowymi, zaczerpniętymi z Ewangelii treściami.

Europa pozostanie chrześcijańska – dodaje dzisiaj wielu – jeżeli pojmimy, że wartości humanistyczne i idee zjednoczonej Europy muszą być widziane w kontekście, w jakim widzieli je stojący u jej początków

święci. Ale jak wnikać w sposób myślenia tych świętych, w ich sposób patrzenia na Boga i świat, który stanowił formę ich życia? Wystawa w Andechs próbowała przeniknąć średniowieczną formę życia, w której wyrosły i żyły św. Elżbieta i św. Jadwiga. Przez zaakcentowanie oryginalnych eksponatów zaprezentowano polityczną i religijną rolę władcy, funkcjonowanie systemu lennego, gospodarczo-polityczną i naukową rolę Kościoła.

Jednak różnice między średniowieczem a końcem XX w. sięgają głębiej i dotyczą podstawowych pojęć naszego myślenia o rzeczywistości, mianowicie pojęcia czasu i przestrzeni. Późnośredniowieczny obraz świata przedstawia sporządzone w 1224 r. mapa z klasztoru w Ebstorf. Na 13 m² pergaminu naniesiono płaski, otoczony przez morze okrąg Ziemi ograniczający się do Europy i Azji. W centrum mapy Jerozolima, a wokół niej ponad 500 miast, 160 rzek i jezior. Jest to przekaz czysto religijny, a nie geograficzny czy polityczny. U góry okręgu widać głowę Chrystusa u dołu jego stopy, po obydwu stronach ręce. Chrystus obejmuje Ziemię, która jest zarazem jego ciałem. Gospodarka agrarna średniowiecza określała czas według przebiegu dnia i pór roku. W późnym średniowieczu wprowadzono do użytku mechanizm zegarowy, co umożliwiło dokładne mierzenie czasu, potrzebne przede wszystkim w gospodarce miejskiej. Przestrzeń wypełniona obecnością Chrystusa, swoisty rytm czasu – oto kategorie postrzegania świata przez ludzi współczesnych św. Jadwidze.

Wiele artykułów i publikacji pisanych z okazji 750. rocznicy śmierci św. Jadwigi podkreśla jej rolę pośredniczki, która budowała i buduje mosty pomiędzy Niemcami i Polakami, pomiędzy katolikami niemieckimi i polskimi. Nadany jej tytuł Patronki Pojednania wyraża treść tego pośrednictwa. List biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. wspomina św. Jadwigę jako tę, której błogosławione oddziaływanie społeczne odczuwa się w Polsce po dzień dzisiejszy. W kazaniu wygłoszonym 15 X 1967 r., z okazji 700-lecia jej kanonizacji, ówczesny arcybiskup wrocławski kard. Bolesław Kominek wspominał kamienną statuetkę św. Jadwigi stojącą na wrocławskim moście łączącym wschodni i zachodni brzeg Odry. Zainicjowane przez biskupów polskich pojednanie niemiecko-polskie stoi pod patronatem św. Jadwigi. W odpowiedzi biskupów niemieckich (z 5 XII 1965) czytamy: *Porusza nas głęboko, że jesteśmy złączeni w kulcie Świętej Jadwigi, która z pochodzenia była Niemką, a przecież, jak nam piszecie, stała się największym dobroczyńcą polskiego narodu w XIII wieku.*

Także dzisiaj, po prawie 30. latach obydwa listy nic nie utraciły ze swego znaczenia. A może właśnie dopiero dzisiaj są one lepiej rozumiane, gdy wprawdzie zniknęła ideologicznie stworzona granica pomiędzy obydwoi narodami, ale tym samym ukazały się jaskrawo inne granice: gospodarcze, kulturalne, światopoglądowe? Rozwijające i zacieśniające się kontakty uwykłają niewidoczne przedtem grani-

ce w myśleniu, przez które ludzie po obydwa stronach Odry patrzą na siebie. Życie św. Jadwigi i jej współczesnych przypomina nam, że budowanie mostów jest zadaniem dla jednostki, dla rodzin i dla narodów. Wielowymiarowa przestrzeń tego zadania musi uwzględniać wspólny wymiar religijny. Św. Jadwiga jest żywą świętą, jej kult żyje w sercach niemieckich i polskich. Do jej grobu w klasztorze w Trzebnicy pielgrzymują ludzie obydwa stron granicy. Święte z Andechs są, obok św. Benedykta, św. św. Cyryla i Metodego, patronkami Europy, która nie może ograniczać się tylko do politycznie, gospodarczo i militarnie zjednoczonej Europy Zachodniej.

Józef Bremer SJ



KRAKÓW, KRAKÓW...

Stary Teatr w Krakowie
Venezia, Venezia
Carla Goldoniego

przekład – Joanna Walter
 scenografia – Kazimierz
 Wiśniak
 reżyseria – Giovanni
 Pampiglione

Jak wam się podoba
William Shakespeare'a

przekład – Maciej Słomczyński
 scenografia – Urszula Kenar
 reżyseria – Tadeusz Bradecki
 Występy gościnne w Warszawie,
 kwiecień 1994 r.

Na kwietniową warszawską wizytę Starego Teatru z Krakowa czekałam z napięciem – i nadzieją. Dwa przedstawienia bowiem, zaprezentowane przez Stary podczas niedawnych Spotkań Teatralnych („Pamiętnik znaleziony w Saragossie” i „Sen srebrny Salomei”), nie miały tej rangi, jakiej należało się spodziewać po scenie uznawanej za najlepszą w kraju, uważanej wręcz za nicoficjalny teatr narodowy. Uczucie zawodu wywoływało przede wszystkim aktorstwo; Kraków od lat dzierżył pod tym względem palmę

pierwszeństwa, już ukończenie tamtejszej szkoły teatralnej ułatwiało młodym ludziom start zawodowy w całej Polsce. Przywykło się przeciwstawiać gwiazdorstwo aktorów z Warszawy krakowskiej umiejętności gry zespołowej, stołecznemu efekciarstwu – krakowskie żmudne poszukiwania artystyczne, owocujące nader często olśniewającymi rezultatami. Jak każde uogólnienie, i to nie było w pełni sprawiedliwe, ale tkwiło w nim ziarno prawdy. Ostatnie Spotkania sprawiły jednak, że niektórzy teatromani skłonni do pochopnych ocen, zaczęli wieszczyć koniec legendy Starego.

Gościnne występy teatru z Krakowa pozwalają na szczęście uznać te przypowiadanie za niezupełnie trafne.

Jest to przede wszystkim zasługa przedstawienia „Venezia, Venezia” – według „Bliźniaków weneckich” Goldoniego – w inscenizacji Giovanniego Pampiglione. Pampiglione, który studiował w Polsce reżyserię i był początkowo zafascynowany twórczością Witkacego, pod wpływem Bohdana Korzeniewskiego postanowił zająć się commedia dell'arte, a szczególnie Goldonim (*To, co mnie zbliża do Goldoniego* – napisał w programie – *to wspomnienie dzieciństwa spędzonego między Padwą a Wenecją...*). Pampiglione wyreżyserował u nas m.in. „Sługę dwóch panów” (1970), „Światowca” (1971) i dwukrotnie „Łgarza” (1975, 1981).

„Venezia, Venezia” to przedstawienie, w którym w przedziwny sposób spleta się atmosfera beztrojskiej, chciałoby się powiedzieć – karnawałowej zabawy z nutą nostalgii za XVIII-wiecznym barwnym,

rozśpiewanym miastem; wyraźnym znakiem tej nostalgii jest ukazująca się za przezroczystą kurtyną maleńka makieta, panorama Wenecji, która w zakończeniu trzeciego aktu oddala się, odpływa. To także przedstawienie, w którym reżyser za pomocą dyskretnej ironii akcentuje dystans, jaki XX-wieczny widz odczuwa wobec tej opowieści, nafaszerowanej zaskakującymi zbiegami okoliczności i niezwykłymi przygodami.

Trzeba jednak od razu powiedzieć, że całą swoją siłę teatralną spektakl ujawnia w pełni dopiero w drugiej części. Początek wydaje się jedynie przydługim wprowadzeniem w konwencję przedstawienia: zgrabnym, ładnie upozowanym, lecz nużącym, jak każda ograniczająca się do warstwy zewnętrznej stylizacja. Widzowi szybko mija podniecenie wypływające z faktu, że na jego oczach postaci ze starych teatralnych rycin ożywają, a ich ruchy i gestykulacja są doskonale zgodne z przekazami i tradycją gry aktorów *com-media dell'arte*.

Później jednak ta starannie utrzymywana przez aktorów charakterystyczna technika wykonawcza, niezwykła zręczność (ciągle tu fruwają jakieś rekwizyty i wszystkie są łapane w locie!) przestają być celem same dla siebie, a stają się środkiem – służącym do powiedzenia bardzo zabawnej i nader zajmującej historii o skomplikowanych perypetiach rozdzielonego niegdyś rodzeństwa. Godne podziwu jest to, że żaden z aktorów nie poddaje się pokusie, by rolę dodatkowo uśmieszniać własnymi gierkami; wszyscy zachowują lojalność wobec konsekwentnie

zarysowanej koncepcji inscenizacyjnej, wszyscy także budują rolę wspólnie z partnerami, a nie z indywidualnych popisów. Przy tym każda postać jest osobna, odmienna i bardzo malownicza; wspomnieć trzeba przede wszystkim o złowrogim, chytrym Pankrazju Jerzego Święcha, figlarnej, zalotnej Colombinie Ewy Kolasieńskiej, zażywnym i komicznym Brighelli Rafała Jędrzejczyka, odrąconym kochanku Florindzie Jana Monczki. Szymon Kuśmider miał w przedstawieniu zadanie najtrudniejsze, grał bowiem obu bliźniaków: wygadanego, przystojnego Tonina i szpetnego przygłupa, Zanetto. Aktor wybrnął z tej opresji raczej z powodzeniem, choć w roli Zanetta chwilami zdarzało mu się przedobrzyć, zanadto popadał w szarżę.

Dość paradoksalne wydaje się to, że skonwencjonalizowane z założenia figury i równie konwencjonalna akcja sztuki Goldoniego przykuwały uwagę z dużo większą mocą niż zdarzenia i postaci Szekspirowskie w drugim z zaprezentowanych przez Stary spektakli – w „Jak wam się podoba” wyreżyserowanym przez Tadeusza Bradckiego. Jest to przedstawienie, po którym w pamięci pozostają obrazy, nie zaś treści, bohaterowie, emocje. Te obrazy bywają istotnie piękne, sugestywne, przemyślnie skomponowane; jak ponury, czarny i czerwony świat dworu, umieszczony za kratą zdobioną złoceniami, jak las, pełen stopniowo odświeżanej bieli, w którym zmierzch jest malowany frapującym, zielonkawoniebieskim światłem. Obrazy te tworzą jednak tylko ramę, jej wnętrze natomiast wydaje

się niemal puste – tak mało zajmujące jest wszystko, co się tam dzieje. Nie znaczy to, że reżyser nie miał pomysłów; są to jednak tylko ozdoby na jakimś tle – składają się jakby na wymyślną girlandę upiętą wokół kolumny, która nie istnieje. Najbardziej dojmująco dochodzi do głosu takie wrażenie w scenach mających rozbijać iluzję teatralną – jak np. w numerze, który można by zatytułować: „Nagle zastępstwo”, kiedy to pomiędzy postaci Szekspirowskie wchodzi aktor w prywatnym ubraniu, z egzemplarzem sztuki w ręce. Nie zdołano bowiem zbudować w tym przedstawieniu autonomicznej rzeczywistości, wysysającej widzów, wobec czego zamierzone zderzenie świata pozateatralnego ze światem sztuki zwyczajnie pali na panewce. W dodatku aktorzy grają, jakby powiedział złośliwy krakowianin, iście po warszawsku. Każdy pod siebie, a większość idzie najprostszy tropem, budując postaci schematyczne, nieprawdziwe, nieistotne. Najlepiej wypada na tym tle Rozalinda Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik (niegdyś wspaniałej Konradowej w „Kalkwerku”), która jednak nie jest przecież w stanie sama pokonać intelektualno-emocjonalnej nijakości tego spektaklu.

Piszę to wszystko z prawdziwą przykrością, Bradecki jest bowiem, w moim przekonaniu, jednym z najlepszych polskich reżyserów, a ponadto jest artystą, który, jak niewiele, wie, co ma zamiar powiedzieć – posługując się formą noszącą piętno jego indywidualności, zarazem precyzyjną i efektowną. Tym razem jednak instynkt powiódł

go na manowce, a cały spektakl sprawia wrażenie, jakby reżyser po prostu robił go bez przekonania, aby odfajkować prestiżową pozycję w repertuarze.

Bradecki, który jako artysta poniósł w Warszawie porażkę, jako dyrektor osiągnął jednak połowiczne przynajmniej zwycięstwo. Stary Teatr udowodnił bowiem stołecznym sceptykom, że – mimo spektakularnych potknięć – w chwilach wzlotów potrafi nadal unieść się na prawdziwe wyżyny. Krzepiące do poczucie, zważywszy że pośród scen powoływanych do zajęcia miejsca Starego, wybranych jest naprawdę niewiele.

Joanna Godlewska



ANGIELSKIE ROMANSE BEZ POCAŁUNKÓW

Okruchy dnia
Jamesa Ivory'ego

Cienista dolina
Richarda Attenborougha

Filmowy melodramat jest gatunkiem niebezpiecznym. Nieustannie balansuje na granicy między arcydziełem a kiczem. Pisanie o nim jest równie ryzykowne: można być posądzonym o polecanie widzom kina, które zaspokaja co najwyżej potrze-

bę wzruszeń i ukradkowego wyjęcia chusteczki. A przecież od tej bardzo uproszczonej tezy istnieją wyjątki, filmy, które zapisały się w historii kina, jak „Przeminęło z wiatrem”, czy „Love story”. Z tego względu warto podjąć próbę przedstawienia dwóch pozycji, które ocierają się o melodramat będąc jednocześnie filmami dla koneserów. Są to „Okruchy dnia” i „Cienista dolina”.

Oba filmy łączy postać pierwszoplanowego aktora. Anthony Hopkins w rolach skrupulatnego kamerdynera i szanowanego profesora Oxfordu stworzył wybitne kreacje. W pierwszym obrazie partneruje mu Emma Thompson (obydwoje już wcześniej w „Powrocie do Howards End” dowiedli, że są niezrównanym duetem), w drugim w postać żywiołowej Amerykanki z nie mniejszym powodzeniem wcieliła się Debra Winger.

Oprócz aktorstwa filmy zbliża także wspólna tendencja do odtwarzania z pietyzmem świata przeszłości. Pejzaż „starej Anglii” ze strzyżonymi trawnikami, wielkim, chłodnym, perfekcyjnie zarządzanym pałacem sprzed II wojny światowej, lub skromnym, starokawalerskim domkiem uniwersyteckich profesorów z lat 50. został obmyślony w najdrobniejszych szczegółach. W tle opowiadanych historii poznajemy odwieczne prawa rządzące brytyjską tradycją: nieprzekraczalne bariery konwenansów, atmosferę wolnomysłicielskich pubów i elementy filozofii konserwatystów. Jesteśmy wśród Brytyczyków. Wbrew powiedzeniu „my home is my castle” przekroczyliśmy progi ich domów.

Poznajemy najpierw Darlington Hall z „Okruchów dnia”. Butler Stewens (szef służby) będzie doskonałym przewodnikiem. Opieka nad rezydencją i oddanie dla arystokratycznego właściciela są jego pasją. Wychowany przez ojca, również kamerdynera, marzy jedynie o osiągnięciu perfekcji w swojej profesji. Na tym polu odnosi sukces: mierzy nawet odległość między nakryciami stołowymi przed przyjęciem! Zatraca się w posuniętej do absurdu identyfikacji ze stanowiskiem, nie zauważa profaszystowskich sympatii swego chlebobdawcy, lub nie starcza mu przenikliwości, by je krytycznie ocenić. Refleksja przychodzi po wojnie, za późno... Gdzie w tej fabularnej anegdocie jest miejsce na miłość? Nie ma go, zwłaszcza że człowiek o dobrych manierach nie mówi o swoich uczuciach. A jednak mimo hołdowania niezłomnym zasadom Stewens podkochuje się w zaradnej, młodej gospodyni (szefowej pokojówek), pannie Kenton. Tłumi odruchy życzliwości i – mimo wzajemnej fascynacji – traci wybrankę serca. Panna Kenton wychodzi za mąż i wyjeżdża. Spotkanie po 30 latach przynosi raz jeszcze samokrytyczną refleksję, znowu zbyt późno... Scena zainscenizowanej już po wojnie „randki” ma wiele psychologicznej prawdy. Wspólny wieczór w kawiarence, spacer po nadmorskiej promenadzie, wreszcie rozstanie na przystanku w strugach deszczu to obrazy wzięte z życia. Życia, które się nie da zatrzymać ani cofnąć. Stewens w interpretacji Antony’ego Hopkinsa to postać wykuta jak rzeźbiarski posąg – symbol godności manifestowanej w milcze-

niu. Niestety, to stoickie milczenie skrywa życiową porażkę.

Zdecydowanie mniej monumentalny jest ten sam aktor grający rolę C.S. Lewisa, autentycznego profesora i zarazem dystyngowanego angielskiego powieściopisarza, który korespondencyjnie zaprzyjaźnia się z amerykańską poetką Joy Gesham. Opowieść o ich poznaniu i miłości przerwanej śmiertelną chorobą Joy jest treścią „Cienistej doliny”. Tu, podobnie jak w poprzednim filmie, uczucia pokazane są za pomocą bardzo delikatnych, pastelowych barw. Do miłości w wieku dojrzałym dochodzi się z oporami, wahaniem, wręcz niedowierzaniem. Stare mury Oxfordu oplecione zielonym winem, cisza bibliotek i odgłos kroków na posadzkach sal wykładowych tworzą osobliwy klimat. Prawdy wyczytane z książek zderzają się z siłą życia. A ono przynosi mozaikę uczuć i pokazuje, jak blisko jest od miłości do rozpacz, od tliwłości do bólu, wreszcie od śmierci do nadziei. Powściągliwy, „angielski w każdym calu” C.S. Lewis wraz ze śmiercią żony żegna część własnej duszy. Ale przejście przez tę „cienistą dolinę” wzbogaca go moralnie na dalsze lata, uczy pokory i wiary w sens cierpienia. „Cienista dolina” kończy się wspólną wędrówką pisarza i syna Joy. Idą wśród pachnących łąk. Dokąd zawiedzie ich ta droga?

Film pozostawia wiele nie domkniętych wątków. Każdy fragment wykładu C.S. Lewisa może być pretekstem do rozmowy, bardziej o życiu niż o kinie.

Oba filmy opowiadają o miłości: subtelnie, z zachowaniem mgiełki

tajemnicy i bez odzierania bohaterów z ich prawa do intymności. Z okazji premiery „Okruchów dnia” brytyjskie gazety pisały nawet o *cu-downym romansie bez pocałunków*. Czy w dzisiejszym kinie, po cyklu „Emmanuelle”, po złamaniu wszelkich erotycznych i seksualnych tabu jest jeszcze czas na romanse bez pocałunków? Tę wątpliwość pozostawiam do rozstrzygnięcia w kinie.

Anna Pietrzak



MLECZNA DROGA

Jan Strządała
*Szept igły
w otwartej żyłę
(wiersze zebrane)*

Wyd. EGO
(Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział w Katowicach,
GMK w Katowicach)
Katowice 1993, ss. 198

Pochylone niebo

Oficyna Wyd. LATONA
Warszawa 1994, ss. 72

Po „Przegranym semestrze” (1969), „Słonecznej nocy” (1983) i „Trudnej galaktyce” (1988) Jan

Strządała wydała dwie kolejne książki. Poeta pisze więc niewiele, jego ćwierćwiekowy dorobek to zaledwie 4 osobne zbiory wierszy, nie licząc wyboru. Ta pisarska i edytorska powściągliwość z pewnością jest dla niego korzystna; wobec uprawianej przez niego poetyki wszelki nadmiar mógłby się okazać katastrofalny w skutkach. Metodą pisania Strządały jest bowiem coś w rodzaju „życiopisania”, czyli uprawomocniony już od dziesięcioleci poetyką Edwarda Stachury i plejady jego naśladowców bezpośredni zapis doznań i doświadczeń traktowanych jako podstawowe tworzywo sztuki. „Życiopisanie” w mniejszym lub większym stopniu stanowi element każdej twórczej ekspresji opartej na funkcjach językowych, jednak jako metoda kreacyjna zyskało specjalne prawa i przywileje właśnie w Stachurowym wydaniu. „Życiopisanie” nie jest przecież formą uporządkowanej relacji pamiętnikarskiej czy kształtowaniem literackich fabuł stricte na wzór autobiograficznych scenariuszy, jest raczej świadomym aktem egzystencji zaprogramowanej specjalnie na użytek sztuki, jest życiem dla sztuki, można by rzec, życiem rozumianym jako aktywny ekwiwalent sztuki. *Wszystko jest poezją* – postulował Stachura zyskując albo aplauz absolutny, albo zdecydowany dystans tych, dla których taka formuła życia i pisania nie jednoczy się automatycznie w jednym programowym pojęciu „życiopisania”.

Strządała od pierwszych wierszy przynależy do Stachurowej koncepcji sztuki. Jego pierwszoosobowy podmiot liryczny, zakres motywów

tematycznych i ładunek bezpośrednich emocji sytuują tę poezję w nurcie nie tyle małej prywatności, ile prywatności kosmicznej, a więc tam, gdzie terminowali także wielcy poeci-wizjonerzy wszechczasów, od Blake’a po Eliota, od Sępa Szarzyńskiego po Zbigniewa Bieńkowskiego. Stachurowy jest u Strządały przede wszystkim stosunek do słowa: on się nim nie uzależnia od własnej ziemskiej ułomności, by – jak wielcy metafizycy – stworzyć świat paralelny do boskiej projekcji kosmosu, on się nim po prostu upija. Szczęśliwie – od czasu do czasu. Kiedy pisałam kilka lat temu o „Trudnej galaktyce” („PP” 10/1989), nazwałam postawę poety antropomorficznym panteizmem, próbując odnieść na grunt filozofii jego egzystencjalny niepokój. Zauważyłam wówczas, że jego *idee rozpraszają się w poetyckich obrazach na zasadzie duchowej entropii, jak iskry Boże w rzeczach świata*. Dziś będę dla świadomego swoich możliwości poety bardziej surowa. Powtarzane w obydwu zbiorach wiersze czyta się chwilami ze znużeniem, jak gdyby to, co było niegdyś pasją autora, zamieniało się tu i ówdzie w rutynę, jak gdyby wiersze pisywał teraz bardziej z nawyku niż z potrzeby serca. Posmak świeżości mają erotyki z pierwszego cyklu „Pochylonego nieba”, zatytułowanego „Milczy w niej dziewczyna”, a także wiersze z końcowych cykli tego zbioru: „Proch” i „Puste rzeczy”; wiele utworów zarówno w tej książce jak i w obszernym wyborze, źle skomponowanym, bo pozbawionym podziału na cykle, przez co trudnym do objęcia czyteln-

niczą uwagą, ociera się, niestety, o banał. Taki banalny wydzwięk mają przede wszystkim utwory o charakterze patriotycznym i – ogólnie mówiąc – krajoznawczym. J. Strządała w każdym wierszu manifestuje swoje związki z naturą i wtedy, kiedy przekracza konwencjonalne struktury języka, tworzy obrazy ciekawe, odważne metaforycznie, zaskakujące odległymi skojarzeniami; jednak kiedy trzyma się wyobraźniowych stereotypów, pisze pretensjonalne, niemalże pensjonarskie laurki. Jaskrawym przykładem czułościowości może być wiersz „Nuty”.

Przyjrzyjmy się wszakże temu, co w tej poezji istotne. Wierszem-kluczem do nowych wierszy Strządały jest „Mleczna Droga”. Obraz świata tutaj przedstawiony, a także sama formuła istnienia zawarta już w tytule utworu zakreślają filozoficzne granice poznawczych doświadczeń poety. *Życie / to żywa kolorowa dolina (...) Rodząc się / zaczynamy schodzić do niej / z Góry białego gęstego milczenia / gęstego szkła / matowej ciepłej mgły // Z miejsca urodzenia / nie widzimy nic / Mleczna Droga.* Każde nowe ludzkie istnienie to, w myśl tego wiersza, tabula rasa wypełniająca się sensem w miarę gromadzenia się przeżyć. Ale przecież i wędrówka przez życie jest jak błądzenie wewnątrz mgławicy, skoro *Ziemia (...) zasłania / cierpliwie / powoli / rosnącym horyzontem jak ramieniem / mój zmęczony dzień, a także skoro Mogą być wszędzie / te delikatne jak ze szkła ramiona nieobecności.* Obsesją poety staje się stan wyjściowy – *godzina zero, Galaktyka Zero* –

moment i miejsce, w których dokonuje się przemiana nieistnienia w istnienie, niewidzialnego w widzialne, nieobecności w obecność, ale też odwrotnie. Proces trwania już u podstaw jest zagrożony rozpadem, świat stając się wyczerpuje się w samym akcie powstawania. Świadomość zmienności, niestabilności, względnej trwałości wszystkiego, co istnieje tu, w ludzkim wymiarze, a także w skali kosmicznej, poeta ma od dawna. Już w „Trudnej galaktyce”, w poemacie „Nerw Błędny”, nazwał człowieka *błędem* (...) *wirusem Galaktyki*, tak uzupełniając obok tę definicję: *Prochem jestem / ale niepodobny / troskliwie powiązany / łańcuchami / kryształami / światłem / jak ocean w którym zlatwały się / promienie gwiazd / szukają w tobie / swoich odbić.* Podobnie jak ludzka komórka jest odbiciem wydarzeń w kosmosie, ludzka dusza odzwierciedla istotę Boga. Religijny liryk, którym kończy się „Szept igły w otwartej zyle”, poeta pointuje następującym obrazem: *obróciłem się w promień / jak w proch.* W wierszu „Byłaś przeźroczysta” przedstawia z kolei antropomorficzną wizję bóstwa: *O Boże który tak blisko / i tak delikatnie jesteś / w milczeniu dłoni / w pochyleniu głowy.* Ta apostrofa wystarczy za cały teologiczny wywód.

Poeta nie nadużywa zatem idei Boga do opisywania fenomenu świata, próbuje raczej poprzez wskazanie znaków szczególnych rzeczywistości odnaleźć w niej Boże znamię. Podstawowym wymiarem życia jest dla Strządały miłość, miłość doświadczana na różne sposoby. Miłość jest więc najprostszą i naj-

celniejszą metodą poznania: *Tylko przez miłość możesz się dowiedzieć* (...). Miłość jest także najskuteczniejszą formą kontaktu ze światem: *Rośnie we mnie biała kula miłości* (...) *Miłość zawsze świeci*. Miłość jest wreszcie ostatecznym celem i przeznaczeniem człowieka:

*Drogą wybraną rozumem
możesz zawsze zawrócić
Droga wybrana sercem
jest zawsze bezpowrotna*
(„Wiatr ją tłucze”)

Motyw drogi, tak bliski romantykom wszystkich epok i nacji, ma również w poezji Strządały swoją osobną dramaturgię. Będąc metaforą ludzkiego losu staje się zarazem gwarancją jego autentyzmu: *Droga rodzi się / z pierwszym krzykiem / umiera z ostatnim / Nie pozwól jej umrzeć*. Dopóki trwa ruch, wędrowanie, dopóty trwa życie: *Widzę ten świat i jest mój aż po horyzont* (...) *I wiem że to czego potrafię dotknąć / nie będę chciał zrozumieć*. Jest to pochwała empiryzmu, dobitny wyraz wiary w wyższość doświadczenia nad abstrakcyjnym rozumowaniem. *Z moich śladów zbudowana jest wieczność* – tą oto sentencją koronuje poeta własną filozofię drogi. Ale – zgodnie z ogólną teorię względności wszelkiego poznania – w innym miejscu wyznaje tęsknotę także za poznaniem ponadzmysłowym: *Chcę nauczyć się / widzieć dalej*. Dalej – czyli ponad granicami empirii, ponad codzienną, wyznaczoną konkretną przygodą drogą. Paradoksalnie punktem dojścia tej poezji jest doświadczenie mistyczne: tylko bliskość rzeczy może nas od nich

uwolnić. Jednym z najprzenikliwiej mądrych wierszy „Pochylonego nieba” jest króciutki, ascetyczny w wyrazie liryk „Puste rzeczy” zakończony takim trójwierszem:

*Więc nie ciągnij za sobą rzeczy
ich ciężar nie pozwala ci
unosić się w powietrzu.*

Droga od mgławicy początku do przejrzystości ostatecznego światła pełna bywa drobnych i większych niespodzianek, wśród których zdarzają się też odkrycia ponad miarę pojedynczego istnienia.

Adriana Szymańska

ZRODZONY Z WODY

Zbigniew Chojnowski
Sniardwy

Polskie
Wydawnictwo Czytelnicze
Oddział przy Woj. Bibl.
Publicznej w Olsztynie
Olsztyn 1993, ss. 36

Miejsce urodzenia? Orzysz, w 1962 r. Później, po dzieciństwie spędzonym w Nowych Gutach, związał się z Olsztynem. Tak można najprościej opisać mazurskie korzenie Zbigniewa Chojnowskiego. Informacja na początku jego tomiku poetyckiego mówi nadto: *Próbując głębiej przyswoić sobie i czytelnikom przeszłość ziemi urodzenia, napisał i opublikował monografię „Michał Kajka. Poeta mazurski” (Olsztyn*

1992). Wydane obecnie „Śniardwy” pokazują, że w poszukiwaniu własnych korzeni w tej ziemi Chojnowski dotarł do innego żywiołu – wody. Tytułowy wiersz rozpoczyna się od słów: *Urodziłem się z fal nanoszących metaliczną nicość*. Fale pozostają nieuchwytnie. Poeta szuka czegoś trwalszego – na początek choćby kamieni wybranych z płytkego dnia. / *Poukładałem je na strychu w rzędy tajemnic do odkrycia*.

Odkrywanie tajemnicy dokonuje się w „Śniardwach” stopniowo. Parnieć przywołuje szczegóły – na przykład parę staruszków o niemieckim nazwisku. Patrzyli ku jezioru, a chłopiec idąc za ich spojrzeniem dojrzał nad wodami *trójkąt ze światła*. Znak patronuje pozaczasowej metafizyce tego miejsca: *Tu nie docierała historia, wpadał przez otwarte okna / Świergot wróbli, mocny zapach jaśminu i krów, pędzonych na pastwiska*. Jednak to nie wszystko. Przypomina się zarazem pokusa, aby pozdrowić staruszków słowami: *Guten Morgen*. Odzywa się historia. Dla dziecka jest ona zrazu sferą ukrytą: *Gęstych od niepamięci wód jezior*. W każdej chwili czyha, niepokoi możliwym odkryciem. Mijane podczas wyprawy łódką wyspy Czarcia i Pajęcza przywodzą na myśl *śmiertelne pułapki / Zostawione przez nieznanych (...)* *Rany niepamięci pootwierają się dookoła*. Także ślady po szynach, których *początek i koniec utonął w cudzych rękach*, przypominają bolesną prawdę, że *nie ma tutaj tych, którzy zapragnęli pierwszym bólem płuc / Żyć do ostatniego świtu nad drogami wokół Śniardw*.

Śladów jest wiele, wiele więcej. Pojawiają się w wierszach „Z listów do mojego dzieciństwa”, do towarzyszy zabaw, do przyjaciół, którzy po części już odeszli: *Nasze łódki wystrugane z kory wypłynęły / Równa na żaglach z gęstych piór. / A ty pierwszy dobiłeś do brzegu w srebrnej trumnie*. Zrodzony z wody poeta doświadcza jej mocy, kiedy *woń rozmarzającego jeziora / Z dna krajobrazu płoszy nicość*. Tajemnicza, falująca nicość bezmiarów wód pozwala pojąć, że nic nie jest już groźne. Wiersz „Nic a nic” kończy się pytaniem: *Gdzie jesteś? jak jesteś?* Dowody istnienia – z wody – zwodzą i nie wytrzymują próby czasu. Życie to *spalanie żywcem*, opisane w wierszu o tym właśnie tytule jako przeżycie: *Przy murze kościoła stałem, / W mijaniu czasu jak w ogniu stanąłem*. Całopalna ofiara nie prowadzi do unicestwienia. Końcem jest doświadczenie wyrażone w wierszu „Jesteś zawsze”, w którym najwięcej mówi początek: *Jesteś zawsze w przerwie między nieznanym początkiem i / Nieznanym końcem*. Reszta jest... kwestią dalszego szukania w tym kierunku.

Zrodzony z wody poeta jest w drodze. Początek pozostaje nieznanym, tajemniczym, podobnie jak koniec. Czeką w nim znalezienie *czegoś więcej / Niż siebie*. Poeta wie o tym, choć w „Majowym”, gdzie tę prawdę przeczuwa, wspomnienie z dzieciństwa nie jest wolne od dysonansu. Wolno ufać, że wierność ojczystej ziemi, wodzie, tradycji i jej Duchowi pozwoli Chojnowskiemu odkryć jeszcze więcej... Dobroć wyrażająca się w jego wierszach –

wiernych wyrazach żywego doświadczenia – napawa otuchą. Pojednanie jest możliwe, nie tylko na mazurskiej, polskiej czy niemieckiej, ale na CAŁEJ ziemi. Trzeba tylko pamiętać: *Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego* (J 3,5).

Jacek Bolewski SJ

MIĘDZY EROSEM A THANATOSEM

Włodzimierz Odojewski
jedźmy, wracajmy

Wyd. „Znak”, Kraków 1993,
ss. 238

Włodzimierz Odojewski – w odróżnieniu od wielu innych pisarzy współczesnych specjalizujących się w ostatnich latach w opowiadaniu – nie komponuje swoich kolejnych tomów z aktualnych, sukcesywnie powstających zestawów utworów, tylko gromadzi w jednym zbiorze wybrane teksty z wielu lat, czasem nawet sięgając po nie do początków swej twórczości. Oczywiście nie jest to działalność przypadkowa: pisarz podporządkowuje zawsze swe książki określonej problematyce bądź przynajmniej sprecyzowanej tendencji poznawczej. I tak np. opublikowany najpierw na Zachodzie, a po 1989 r. w kraju tom „Zabezpieczanie śladów” wracał – najogólniej mówiąc – do tematu sybe-

ryjskiego i katyńskiego, wprowadzając wszakże ten martyrologiczny polski wątek w świat autorskiej oryginalnej wyobraźni. Wydane przed trzema laty opowiadania „Zapomniane, nieuśmierzone...” pasjonowały się sytuacją uchodźców politycznych, którzy w różnych okresach i różnych okolicznościach zostali zmuszeni do opuszczenia Peerelu, albo sami się z niego salwowali ucieczką, a którzy potem nie potrafili sobie znaleźć miejsca na emigracji. Frustracja, dezaprobata dla swego losu jest w przypadku bohaterów tych utworów nie rozczarowaniem uczestników konkretnych formacji ideowych – ale w ogóle zniechęceniem obywateli współczesnego świata. Zmora dla nich stają się nie podziały polityczne, konsekwencje międzynarodowego układu sił, lecz to, że historia współczesna odarła człowieka XX w. z fundamentalnych zasad człowieczeństwa, że odebrała mu prawo do samodecydowania i prywatności, że uzależniła go – mimo przemijania totalitaryzmów – od zbiorowości, od nastawionej egoistycznie, pragmatycznie i merkantylnie masy...

Wszakże, jak w pierwszym wymienionym tomie, tak i w tym, a również w najnowszym „jedźmy, wracajmy...” nad doraźnymi problemami, treściami społecznymi czy politycznymi itp. dominuje sens literacki, porządek estetyczny; jak zawsze, zagarnia nas klimat i specyficzny nostalgiczny styl tej prozy.

Zapewne włączając swe pisane niekiedy przed trzydziestoma laty utwory do nowych zbiorów W. Odojewski próbuje nadrobić swą długą nieobecność – wywołaną znanymi

restrykcjami politycznymi w Peerelu – na rodzimym rynku czytelniczym; ale podkreślam, że tu chodzi nie tylko o zwykłe autorskie rewindykacje, lecz chyba bardziej o intencjonalny powrót pisarza do swego całego dorobku, o świadomą konstrukcję literacką, powstającą na podstawie zaktualizowanej repetycji twórczej, oczywiście wzbogaconą o najnowsze dokonania. I tak omawiany obecnie zbiór opowiadań przynosi znowu retrospektywę sięgającą czasów wojennych, choć tym razem w mniejszym stopniu związaną z wybijającą się kiedyś na plan pierwszy problematyką zbrodni sowieckich i wschodniej gehenny Polaków. Tylko w tytułowym opowiadaniu narrator sięga po ten temat, choć też zupełnie inaczej go postrzegając. Mianowicie bohater opowiadania po wielu latach odbywa wraz z synem wycieczkę pod Lwów, do miejsc związanych ze swym dzieciństwem – naznaczonych w pamięci z jednej strony tragedią ukraińskich mordów, a z drugiej przeżyciem pierwszych erotycznych wtajemniczeń z dziewczyną o imieniu Lilith – lecz nie doczeka się spodziewanego „szoku przeszłości”. Okazuje się, że z krajobrazu dzieciństwa nie pozostało dokładnie nic – ani w sferze materialnej, ani duchowej. *Węć zamknął oczy i odpędzał od siebie wszelkie obrazy przeszłości. Lecz później, gdy powracali tą samą drogą do miasta, wszystko to minęło, przepadło. I w końcu myślał tylko z gorzkim sarkazmem o tym, że jeżeli chodzi się po jakichś miejscach, po których przed laty wielokrotnie się chodziło (których obraz, choć przyćmiony, pozostał w pamię-*

ci), i ma się wrażenie, że się je rozpoznaje, to wszystko to, co z nimi związane, natychmiast odżyje i że czas się jak gdyby cofnie, aż nagle okazuje się, że te miejsca są już zupełnie inne i obce. Jakże odmienna to perspektywa autorska od nadającego sens twórczości jeszcze przed dziesięciu–piętnastu laty doniosłego postulatu „zabezpieczania śladów” – bo cóż można zabezpieczać, skoro nie pozostał kamień na kamieniu...

W najnowszych opowiadaniach temperament opozycjonisty oraz intencja ideowa schodzą u narratora na dalszy plan; taka zwykle zresztą zdaje się kolej rzeczy w ludzkim życiu... Jak w powyżej wzmiankowanym opowiadaniu – rekonstruującym z jednej strony silnie tkwiący w pamięci obraz tragicznej śmierci dziadka z rąk ukraińskich okrutników, a poddającym się z drugiej strony fascynującemu wspomnieniu spotkań z Lilith – wagi nabierają teraz fundamentalne konstatacje psychologiczne dotyczące natury ludzkiej. Tej skłóconej wewnętrznie, dramatycznie rozszczępionej u swoich podstaw, poddawanej równocześnie oddziaływaniu Erosa-życia i Thanatosa-śmierci. Szczególnego wymiaru nabiera ta konfrontacja w okresie pogrążonego w wojennym mroku dzieciństwa. Dziecięcy narrator otwierającego tom tekstu „Nie można cię samego zostawić o zmierzchu” swoje pierwsze odkrycia wyobraźni i emocje psychiczne związane z inicjacją erotyczną zestawia z obserwacją „dorosłego” świata, który wyszedł z normy. Oto pierwsze ośnienie pięknem ciała dość frywolnej kuzynki ulega symbolicznemu zderzeniu z oglądanym

niedługo wcześniej dołem wypełnionym trupami okaleczonych kobiet, z wizją ciał zgładzonych w zbiorowej egzekucji Żydówek... W opowiadaniu „Godzina albo pół” moce Erosa jak gdyby przewyższają na krótką chwilę potęgę oddziaływania Thanatosa – kiedy to w porwywie niepojętego dla siebie pożądania padają sobie w ramiona młody mężczyzna i kobieta, choć dopiero co przecież zginął jej chłopak; obydwójce – biorąc udział w beznadziejnym dla siebie starciu zbrojnym – nie mają zresztą też większych szans na przeżycie. W innym opowiadaniu kobieta po tragicznych przejściach wojennych, zgwałcona przez sowieckich żołdatów, odpycha zbliżającego się do niej kochanego mężczyznę – choć i równocześnie nie chce, by on pozwolił się odepchnąć; w końcu jej opór słabnie: *Świat się walił albo może już zawałił, ale ty, zdawało się, byli bezpieczni i mimo wszystko znowu razem*. Eros zdaje się więc w tym okropnym czasie zapewniać nie tylko momenty ułudy i zapomnienia, ale i dostarczać poczucia bezpieczeństwa – stanowić wyzwanie rzucane molochowi zagłady.

Odojewski, podobnie jak w poprzednich tomach, nie wdaje się w szczegółową, realistyczną dokumentację przedstawionych zdarzeń; jeśli posługuje się konkretem materialno-obyczajowym itp., to wykorzystując go jako tło dla najbardziej fascynującego ponadczasowego międzyludzkiego dramatu instynktów i wyższych uczuć, pożądania i trwogi, kultury i natury. Jest przy tym pisarz mistrzem w odczarowywaniu ulotnych stanów duszy, nastrojów, atmosfery czasu – wszyst-

kiego, czego się nie znajdzie w podręcznikach historii.

Mieczysław Orski

OBRONA METAFIZYKI

Theo Kobusch *Die Entdeckung der Person Metaphysik der Freiheit und modernes Menschenbild*

Herder, Freiburg – Basel –
– Wien 1993 ss. 300

Osoba, wolność i godność – pojęcia te przynależą do duchowego dziedzictwa ludzkości. Tworzą nowoczesny obraz człowieka, trudno sobie bez nich wyobrazić życie indywidualne i społeczne. Osoba, wolność i godność – tematy o niezwyklej doniosłości nie tylko w salach uniwersyteckich, ale przede wszystkim dla politycznej działalności. Ich niezwykła teoretyczna doniosłość i praktyczna ważność polega na tym, aby uchwycić ich treści, mówiąc innym językiem – wnikać w rzeczywistość bytu ludzkiego i odpowiednio do jego istoty ukształtować, uprawomocnić życie indywidualne i społeczne.

W pierwszej chwili może szokować twierdzenie, że pojęcia te – należące do duchowego dziedzictwa ludzkości – nie zawsze w życiu jednostki i społeczeństwa odgrywały

taką rolę i miały takie znaczenie jak dzisiaj. Pojęcia osoby, wolności i godności mają swoją długą historię. Myślenie Greków i Rzymian nie znało naszego, nowoczesnego pojęcia osoby. Obchodziło się bez niego, gdyż to myślenie „wychodziło” z ontologii – metafizyki przyrodniczej rzeczywistości, patrzyło na człowieka i ujmowało go w kategoriach rzeczy. Człowiek był włączony w system myślowy, którego pojęciowa aparatura nie była w stanie uchwycić takich prafenomenów, jak osoba, wolność, godność.

Czasy nowożytne nic są czasami życzliwymi dla metafizyki. Oto kilka haseł: od Kartezjusza metafizyka przestała być podstawową dyscypliną filozoficzną, jej miejsce zajęła teoria poznania, Kant wykazał nienaukowość metafizyki, Nietzsche głosił jej koniec, Ayer nazwał ją *chorobą ducha*, Heidegger pokazał, że ludzkość zapoznała byt na rzecz bytującego, a metafizyka „skończyła się” na technice. Uprawiać metafizykę dzisiaj to narażać się na śmiech i kpinę. Do dobrego tonu należy nieporuszanie spraw metafizyki. Elity intelektualne żyją na antymetafizycznych płaszczyznach.

Obrona metafizyki w naszych czasach jest przedsięwzięciem ryzykownym. Może wynikać ze zwykłego oportunistu, utrzymania za wszelką cenę tego, co ma znaczenie i wartość historyczną. Wydaje się, że postawa tego typu niczego nie zmieni, nie przysporzy sympatii metafizyce.

Obrona metafizyki może być brzemienne w skutki, jeśli uda się jej pokazać, że czasy nowożytne są nabudowane na tradycji metafizycz-

nej, oczywiście różnej od Arystotelesowskiej, lecz na tradycji, która rozwijała się na jej obrzeżach, a którą można nazwać metafizyką wolności (metafizyką bytu moralnego, metafizyką nowoczesnie rozumianej godności człowieka).

Kobusch pokazuje, że *metafizyka wolności rozpoczyna się w XIII w. i kończy – jeśli szuka się realnych skutków – na nowoczesnym państwie, dokładnie powiedziawszy: na demokracji parlamentarnej, realnym owocem tej metafizyki jest nowoczesne, praworządne państwo, w którym sprawą bezwarunkową jest respektowanie niezbywalnych praw człowieka. Politycznym wynikiem rozwoju tej tradycji metafizycznej jest demokracja parlamentarna, w której po raz pierwszy przez podział władzy stało się polityczną realnością samoograniczenie wolności ze względu na wolność drugiego* (s. 21).

Budzi zdziwienie i zadumę, w jaki sposób tak teoretyczna dyscyplina jak metafizyka wpłynęła na kształt życia człowieka ujętego w politycznych i prawnych decyzjach.

Koniec metafizyki? Jeśli tak, to tylko koniec jej jednego, Arystotelesowskiego rozumienia. Koniec metafizyki? Nie! Bo przecież nikt nie zwolni rozumu z obowiązku myślenia. Człowiek będzie zawsze pytał: Kim jestem i co właściwie jest? Pytanie zrodzone z zadziwienia przynależy do rozumu. Koniec metafizyki byłby końcem myślenia. Rozum jest tym, co wiecznie pyta, dlatego człowiek jest wiecznym wędrowcem do samego siebie.

Praca Kobuscha ma charakter historyczno-filozoficzny, analizuje

historię pojęcia wolności poczynawszy od XIII w. po dzień dzisiejszy. Nie jest to łatwa lektura, nawet dla czytelnika obeznanego z filozofią. Autor dokładnie wyznaczył tok swoich analiz, w trakcie ich przeprowadzania przytacza tak wiele informacji, że powstaje realna możliwość zagubienia i utracenia wątku myślowego. Lektura nie jest łatwa, ale jest przecież konieczna do zrozumienia duchowej sytuacji współczesnego człowieka. Warto więc zwrócić na nią uwagę i spróbować uświadomić sobie, na czym polega godność osoby.

Jerzy Machnacz

POZNAĆ PAPIEŻA

Jean-Yves Calvez
*L'homme
 dans le mystère
 du Christ
 Le message
 de Jean-Paul II*

DDB, Paris 1993, ss. 150

O tym, że papieża kochamy i podziwiamy, lecz nie znamy jego nauczania, mówił niedawno w jednym z wywiadów bp Jan Chrapek. Zdaniem francuskiego jezuitę, Jean-Yves Calveza, dotyczy to zarówno świeckich jak i księży. Jego książka „Człowiek w tajemnicy Chrystusa” jako jeden z celów stawia sobie

przybliżenie katolikom nauczania Jana Pawła II. Autor, doskonale dobierając cytaty z encyklik i przemówień papieskich, pozwala czytelnikowi w miarę szybko i dokładnie zapoznać się z nauczaniem Ojca Świętego. Kluczem do lektury 6 encyklik oraz kilkunastu katechez i przemówień papieskich jest człowiek. Kim jest człowiek? Jaka jest antropologia Jana Pawła II? Jakie są jej konsekwencje?

„Człowiek” to jedna z podstawowych myśli pontyfikatu Jana Pawła II. Koncepcja człowieka w świetle tajemnicy Chrystusa pojawia się już w „Redemptor hominis” (1979). Wieloaspektowość nauczania papieskiego na temat człowieka i jego godności Calvez ujął w 11 rozdziałach, w których omawia kwestie godności człowieka, jego wolności, powołania, rozwoju, stosunku człowieka do prawdy, pracy, kultury, moralności i religii.

Podstawą papieskiego nauczania o człowieku jest jego chrystocentryzm. Chrystus jest źródłem całej antropologii Jana Pawła II. W „Redemptor hominis” papież pisze, że przez wcielenie Chrystus złączył się z każdym człowiekiem. *Zszedł do samej głębi sumień ludzkich dochodząc do wewnętrznej tajemnicy człowieka, która w języku biblijnym i nie tylko biblijnym wyrażona jest słowem serce* (nr 8). Przez wcielenie Chrystus stał się człowiekiem doskonałym. Konsekwencją takiego spojrzenia jest przekonanie, że Chrystus jest drogą dla człowieka. Innymi słowy, to przez Chrystusa człowiek osiąga pełne zrozumienie samego siebie. Człowiek *niejako całym sobą musi wejść w Chrystusa,*

„przyswoić” sobie i zasymilować całą rzeczywistość Wcielenia i Odkupienia, by odnaleźć samego siebie (nr 10). Tak też czyni papież. Kiedy w innych encyklikach i wypowiedziach mówi o wymiarze transcendentnym człowieka, o jego autonomii, wymiarze wspólnotowym i społecznym czy też o niebezpieczeństwach, jakie w dzisiejszym świecie zagrażają godności osoby, zawsze postrzega człowieka w świetle tajemnicy Chrystusa.

W swoim nauczaniu Jan Paweł II krytykuje te antropologie, które pozbawiają człowieka jego wymiaru duchowego, wskazując na całkowitą niezależność człowieka wobec Boga. Calvez wymienia 3 antropologie, które zdaniem papieża są błędne. Ojciec Święty krytycznie ocenia antropologię tzw. realnego socjalizmu. Jej błąd polegał na tym, że człowieka pojmowano jako wypadkową relacji społecznych. Kolejna – to antropologia *cywilizacji konsumizmu*. Charakteryzuje ją brak podstawowego rozróżnienia między „mieć” a „być”. Trzecia krytykowana przez papieża antropologia opiera się na fałszywej koncepcji wolności *oderwanej od posłuszeństwa prawdzie* („Centesimus annus” 17).

Powyższe omówienie nie może zastąpić lektury dokumentów papieskich lub przynajmniej lektury książki francuskiego jezuitę, która sama jest już uporządkowaną lekturą tychże dokumentów.

Spośród wielu aspektów nauczania papieskiego na temat człowieka warto zwrócić uwagę na zagadnienie prawdy i wolności jako konstytutywnych wymiarów osoby. Te dwa pojęcia istotne dla „*Veritatis splen-*

dor” są obecne w innych jego pismach. W swojej książce Calvez pokazuje, że ściśle połączenie wolności człowieka z prawdą Chrystusa od początku było obecne w nauczaniu papieża. W „*Redemptor hominis*” Ojciec Święty pisze, że przez odkupienie Chrystus *jawi się jako Ten, który przynosi człowiekowi wolność, zbudowaną na prawdzie* (nr 10). Dla Jana Pawła II *prawda jest warunkiem autentycznej wolności* (nr 14). To samo mówi papież w „*Centesimus annus*”. W bardzo ważnym 46. numerze pisze m.in.: *W świecie bez prawdy wolność traci swoją treść, a człowiek zostaje wystawiony na pastwę namiętności i uwarunkowań jawnych i ukrytych*. Prawda jest istotnym czynnikiem nie tylko dobrego życia osobistego, ale i dobrego funkcjonowania demokratycznego państwa.

Na koniec warto wspomnieć, że omawiana książka ukazała się w serii zatytułowanej „*Mała współczesna encyklopedia chrześcijaństwa*”. Można by sobie życzyć, żeby i w Polsce ukazywały się takie syntetyczne opracowania. Dobrze by było, gdyby nasze polskie przywiązanie do katolicyzmu i papieża szło w parze ze znajomością i zrozumieniem nauczania chrześcijańskiego.

Zbigniew Kubacki SJ

**REFLEKSJA
NAD
ZMARTWYCHWSTANIEM**

Józef Kulisz SJ
**Tęsknota
za Nieskończonym**

Oficyna
Przeglądu Powszechnego
Warszawa 1993, ss. 66

Niewielka książeczka Józefa Kulisza SJ powstała z wykładów z teologii fundamentalnej, jakie prowadzi autor w Sekcji „Bobolanum” Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie, i jest 4. już pozycją z tej serii, po wydanych wcześniej: „Spór o religię sporem o człowieka”, „Jezus w świetle historii”, „Bóg w Jezusie”. Najnowsza praca omawia centralną prawdę chrześcijaństwa, jaką jest zmartwychwstanie, umieszczając ją w perspektywie historycznej, poczynając od wierzeń i poglądów na nieśmiertelność w najwcześniejszych cywilizacjach i kulturach, przez dość szczegółowe omówienie faktu śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, aż do ukazania roli Kościoła w teraźniejszości i przyszłości, jako *miejsca codziennego doświadczania mocy Zmartwychwstałego przez ludzi wszystkich czasów* (s. 53).

Dwie sprawy wydają mi się szczególnie warte podkreślenia.

Pierwsza to historyczna ewolucja poglądów na śmierć i nieśmiertelność, którą prezentuje autor, poczynając od Sumeru, przez mity babilońskie i fenickie, starożytny

Egipt, Indie, Grecję, aż do nowożytnej myśli filozoficznej. Poglądy te stopniowo krystalizują się w judaizmie, co znajduje swe odbicie w kolejnych księgach Starego Testamentu, aby wreszcie uzyskać najpełniejsze znaczenie w chrześcijaństwie. Wydaje się, iż dobrze oddają istotę owej ewolucji tytuły poszczególnych rozdziałów: „Tęsknota przeżywana”, „Tęsknota uświadomiona”, „Tęsknota zrealizowana”. Taka prezentacja tematyki zmartwychwstania pozwala dostrzec jego kontekst historiozbowczy oraz jest pozbawiona nastawienia apologetycznego wobec innych religii, przeciwnie zaś, potwierdza, że *Opatrzność [Boga] oraz świadectwo dobrot i zbawienne zamysły rozciągają się na wszystkich* (DRN 1).

Druga kwestia zasługująca na podkreślenie to perspektywa Kościoła jako środowiska, w którym zmartwychwstały Chrystus nadal żyje i działa. Autor prezentuje rolę Kościoła na podstawie pism Teilharda de Chardin. Być może nieco tajemniczo brzmią dla polskiego czytelnika takie terminy, jak „Chrystus kosmiczny”, „pleroma”, „noosfera”, lecz tajemniczość owa prowokuje do głębszej refleksji nad znaczeniem przytoczonych terminów, a zarazem może się stać bodźcem do sięgnięcia po dzieła Teilharda.

W dzisiejszej sytuacji, gdy wyniki badań opinii publicznej ukazują spadek autorytetu Kościoła, gdy obserwuje się pewien kryzys jego dotychczasowych struktur, form duszpasterstwa, gdy toczą się dyskusje nad rolą Kościoła w postkomunistycznej Polsce czy jednoczącej się Europie, tym bardziej celowa wyda-

je się refleksja dotycząca Jezusa zmartwychwstałego w Kościele oraz roli samego Kościoła, jako *osi ewolucyjnego rozwoju* (s. 63), jednoczącej ludzkość wokół osoby Jezusa Chrystusa.

A zatem dla czytelnika zainteresowanego rozwojem współczesnej myśli teologicznej omawiana pozycja może stanowić interesującą lekturę.

s. Bożena Stencel FMM

Phil Bosmans, *Pielęgnuj kwiaty szczęścia*

przeł. Wincenty Łaszewski
„Cor Apertum”, Warszawa 1993, ss. 88

Pięknie ilustrowana książka zawierająca krótkie myśli o codzienności współczesnego człowieka.

Pierre Chaunu, *Wielki Wybuch a stworzenie świata*

rozmawia Charles Chauvin
„M”, Kraków 1993, ss. 95

Autor, znany francuski historyk pasjonujący się astrofizyką i kosmologią, wyraża swój zachwyt nad dziełem stworzenia, nie posługując się przy tym ani teoriami naukowymi, ani teologią.

ks. Franciszek Drączkowski, *Do Boga, który uwesela. Homilie*

wyłoszone w Radio Watykańskim

Norbertinum, Lublin 1994, wyd. I, nakł. 1500 egz., ss. 63

14 homilii dotyczących podstawowych problemów chrześcijaństwa przedstawionych w duchu nauki II Soboru Watykańskiego.

ks. Franciszek Grudniok, *Skarb cierpienia*

TUM, Wrocław 1994, wyd. I, ss. 238

Kontynuacja problematyki cierpienia w aspekcie chrześcijańskim, zapoczątkowana przez autora książki *Blaski cierpienia* (Wrocław 1987).

Jan Paweł II, *Familiaris consortio*

TUM, Wrocław b.r.w., wyd. I, ss. 165

Pełny tekst adhortacji apostolskiej o zadaniach rodziny chrześcijańskiej w świecie współczesnym.

Giuseppe Lazzati, *Modlitwa człowieka świeckiego*

przeł. Barbara Piotrowska
WAM, Kraków 1993, ss. 106

Modlitwa jest istotnym elementem pozwalającym na osiągnięcie pełni człowieczeństwa, czyli świętości.

Leszek Aleksander Moczulski, *Tajemnice radości*

ilustr. Stanisława Lechicka
Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 1993

Pięknie ilustrowane wiersze dla dzieci, dedykowane Muminkom – dzieciom upośledzonym.

Stanisław Romuald Rybicki
FSC, Jan de La Salle. Patron nauczycieli

WAM, Kraków 1993, wyd. III, ss. 250

Wznowienie biografii założyciela Zgromadzenia Braci Szkolnych.

Andrzej Tyszka, *Kultura jest kultem wartości. Aksjologia społeczna – studia i szkice*

Norbertinum, Lublin 1993, wyd. I, nakł. 1000 egz., ss. 201

Zbiór szkiców drukowanych w czasopiśmie w latach 1989–93, obejmujących m.in. takie zagadnienia, jak ideał człowieka kulturalnego, przymus społeczny, prawdy i nieprawdy socjologii.

Zofia Trojanowiczowa, *Sybir romantyków*

współpraca Jerzy Fiećko

„W drodze”, Poznań 1993, wyd. II, ss. 602

Antologia utworów literackich, wspomnień i świadectw poświęconych losom polskich zesłańców w głąb Rosji, zaopatrzona w obszerny wstęp prezentujący historię zesłań Polaków w XIX w.

Alfonso Vergara SJ, *Radość bycia człowiekiem*

przeł. Maria Morawetz, Andrzej Nowak (poezja)

WAM, Kraków 1993, ss. 270

Tematy podjęte w książce dotyczą pytań, jakie zadają sobie ludzie wszystkich czasów: kim jesteśmy? co robimy na tym świecie? dokąd zmierzamy?

Bogusław Widła, *Światła Apokalipsy*

„Impuls”, Warszawa 1993, wyd. I, ss. 154

Komentarz do Apokalipsy św. Jana, mający pomóc w zrozumieniu tej trudnej księgi Nowego Testamentu

Peter Williamson, *Jak stać się osobą, jaką powinien być?*

przeł. Stanisława i Jerzy Demscy
WAM, Kraków 1993, ss. 103

Książka z serii „Żyć po chrześcijańsku”. Mówi o charakterze chrześcijańskim, podaje jego definicję i uczy upodabniania się do Pana.

Człowiek od początku

WAM, Kraków 1994

Broszura składająca się z fotografii ilustrujących rozwój człowieka od zapłodnienia do narodzenia.

Kurs biblijny, z 3. Perykopy Ewangelii wg św. Marka z. 4 Nowy Testament. Ewangelia według św. Mateusza

WAM, Kraków 1993, ss. 44, 50

Z życia Kościoła

1. XVII MIĘDZYNARODOWY KONGRES RODZINY odbył się w Warszawie w dniach 14–17 IV 1994 r. Uczestniczyli w nim przybyli z całego świata przedstawiciele hierarchii Kościoła katolickiego, duszpasterze, naukowcy, politycy, lekarze, przedstawiciele ruchów działających na rzecz rodziny, wyznawcy innych religii. Podstawowym celem Kongresu była informacja o sytuacji rodziny na świecie. Wygłaszane referaty i dyskusje dotyczyły przede wszystkim zasad etyki seksualnej Kościoła katolickiego. Poruszono także problem tzw. przeludnienia związanego ze wzrostem demograficznym. Tezę o grożącym światu przeludnieniu wielu mówców określiło jako mit i celową manipulację, zaś ideę demograficznego bezpieczeństwa, postulującą kontrolę urodzeń przez aborcję i sterylizację – jako nowy totalitaryzm. Wielu mówców z Polski i z Zachodu ostrzegało przed cywilizacją śmierci. „Odezwa końcowa” Kongresu stwierdza m.in., że siły polityczne, rządy, organizacje i struktury międzynarodowe próbują narzucić rodzinom praktyki godzące w fundamentalne prawa, a zwłaszcza prawo do życia. W związku z tym sygnatariusze „Odezwy” stwierdzają: każdy człowiek ma prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, i – według międzynarodowego uzgodnienia wypracowanego w Meksyku w 1984 r. – zabijanie nie narodzonych nie może być uznawane za metodę regulacji poczęć; praktyki niezgodne z porządkiem naturalnym nie mogą być dozwolone przez prawodawstwo; rodzina oparta na dobrowolnym, publicznie zawartym, nierozzerwalnym i otwartym na przekazywanie życia małżeństwie cieszy się naturalnymi prawami wynikającymi ze społecznej natury człowieka i jego niezbywalnej godności; związki osób tej samej płci nie mogą być uznane za małżeństwa ani cieszyć się prawami, z których korzystają rodziny; dzieci mają przyrodzone prawo do wychowania przez naturalnych lub przybranych rodziców, z właściwą im miłością podejmujących odpowiedzialność za przygotowanie do moralnego życia.

2. PAPIEŻ PRZESTRZEGA PRZED DZIAŁANAMI ANTYRODZINNymi. W memorandum do uczestników międzynarodowej konferencji n.t. ludności i rozwoju, w liście rozesłanym do głów państw na całym świecie oraz w wielu wystąpieniach na przełomie marca i kwietnia br. Jan Paweł II przestrzegał przed wpisaniem na listę praw człowieka prawa do aborcji. Papież wyraża swoje zaniepokojenie w związku

z projektem dokumentu końcowego międzynarodowej konferencji n.t. ludności i rozwoju mającej się odbyć we wrześniu br. w Kairze. Jan Paweł II zwraca uwagę na nieporozumienie, jakim jest sprowadzenie zagadnień demograficznych do sfery *praw seksualnych i rozrodczych*.

3. SERAFICKIE DZIEŁO MIŁOŚCI (Seraphisches Liebeswerk Solothurn) założone 100 lat temu przez dra Fritza Spielera-Mayera obejmuje 3 dziedziny pomocy rodzinom: zakłada domy i internaty dla sierot i półsierot oraz opiekuje się matkami samotnie wychowującymi dzieci; wydaje książki i czasopisma religijne, organizuje apostolstwo modlitwy, dni skupienia i pielgrzymki; prowadzi szkoły dla pracowników społecznych. Serafickie Dzieło Miłości niesie swoją pomoc dzieciom i rodzinom na wszystkich kontynentach (J.Ch.).

4. DYREKTORIUM O POSŁUDZE I ŻYCIU KAPŁANÓW opublikowała 22 III br. Kongregacja ds. Duchowieństwa. Dokument jest odpowiedzią na prośby licznych biskupów, wyrażone w 1990 r. podczas synodu n.t. formacji księży. Ponieważ katolickie Kościoły rytów wschodnich mają własną dyscyplinę, dyrektorium jest skierowane przede wszystkim do księży rytu łacińskiego.

Podzielony na 3 części dokument pragnie odpowiedzieć na podstawowe problemy dotyczące doktryny, dyscypliny i wymiaru pastoralnego posługi kapłańskiej. Część I dotyczy tożsamości kapłana. Dokument odrzuca jednocześnie „autorytaryzm” kapłana wobec wiernych jak i „demokratyzm”, który znosiłby wszelkie różnice ról pomiędzy członkami mistycznego Ciała Chrystusa. W części tej podkreśla się wspólnotowy charakter życia kapłańskiego w jego wymiarze teologicznym i eklezjalnym. Ponadto dokument przypomina, że księża powinni zrezygnować z wszystkich form zaangażowania politycznego. Część II dyrektorium jest poświęcona duchowości kapłańskiej. Kapłan jest człowiekiem modlitwy i nie powinien ulegać pokusie „aktywizmu”, a jego posługa nie powinna się ograniczać jedynie do aspektów funkcjonalnych. W części tej została także poruszona kwestia celibatu, posłuszeństwa wobec papieża i biskupów, oraz problem ubóstwa kapłanów. W części III dokument podkreśla znaczenie ciągłej formacji wśród księży – formacji ludzkiej, duchowej, intelektualnej i pastoralnej. Pytania odnośnie do święcenia żonatych mężczyzn i święcenia kobiet zostały świadomie pominięte.

5. ANI KLERYKALIZACJA ŚWIECKICH, ANI LAICYZACJA KAPŁANÓW. *Wspólnoty i jedności Kościoła nie można wzmacniać ani za pomocą*

klerykalizacji wiernych świeckich, ani przez laicyzację kapłanów – powiedział 22 IV br. Jan Paweł II podczas audiencji dla uczestników zorganizowanego przez Kongregację ds. Duchowieństwa sympozjum n.t. „Udział świeckich w posłudze kapłańskiej”. Papież stwierdził, że obecne trudności spowodowane brakiem wystarczającej liczby księży w niektórych rejonach świata nie mogą usprawiedliwić posunięć, które naruszałaby ustalony porządek, gdyż problem nie polega na szukaniu alternatyw. *Wszelka działalność eklezjalna czy funkcja ludzi świeckich – powiedział Jan Paweł II – jest ontologicznie zakorzeniona w ich wspólnym uczestnictwie w kapłaństwie Chrystusa, a nie w ontologicznym udziale (choćby czasowym czy częściowym) w posłudze właściwej pasterzom. Papież wyraził przekonanie, że sporadyczne powierzanie świeckim pewnych zadań związanych z posługą duszpasterską, lecz nie wymagających święceń, nie czyni człowieka świeckiego pasterzem, bowiem o urzędowej naturze posługi stanowi nie rodzaj spełnianej funkcji, lecz przyjęcie sakramentalnych święceń („Christifideles laici”, 23) (KAI).*

6. JEDNA TRZECIA PARAFII W NIEMCZACH NIE MA SWEGO KAPŁANA. Na zorganizowanym z inicjatywy Konferencji Episkopatu Niemiec spotkaniu n.t. nabożeństw niedzielnych bez kapłana, poinformowano, że spośród 13 327 parafii i ośrodków duszpasterskich w Niemczech, 4524, a więc 34%, nie ma własnego duszpasterza. Podczas sympozjum, w którym uczestniczyli biskupi, liturgiści i księża, podkreślono, że niedzielne nabożeństwa bez udziału księdza mogą być sprawowane tylko w ostateczności. W wielu diecezjach niemieckich przygotowuje się już świeckich do prowadzenia liturgii słowa podczas niedzielnych nabożeństw w razie braku księdza (KAI).

7. LITURGIA RZYMSKA I INKULTURACJA. 29 III br. Kongregacja ds. Kultu Bożego wydała instrukcję poświęconą adaptacji liturgii rzymskiej w tradycjach różnych ludów. Dokument „Liturgia rzymska i inkulturacja” jest skierowany przede wszystkim do krajów misyjnych. *Uzasadnione zróżnicowania w rycie rzymskim były zaakceptowane w przeszłości i potwierdzone przez II Sobór Watykański w konstytucji „Sacrosanctum Concilium” – czytamy w preambule dokumentu. Instrukcja omawia proces inkulturacji. Kościół pod wpływem innych kultur przyjął inne formy liturgiczne, rozeznając „wśród elementów pochodzących z kultur pogańskich te elementy, które mogły być przyjęte. W dokumencie czytamy, że odpowiedzialność za proces przygotowujący inkulturację liturgii w danym kraju czy regionie*

ponoszą konferencje episkopatów. Dokument przypomina też zasady i normy praktyczne, jakie winny być zachowane w procesie inkulturacji rytu rzymskiego w tradycjach poszczególnych ludów. Ostateczna decyzja co do zmiany należy do Stolicy Apostolskiej. Jeśli chodzi o dziedziny, w których mogą być dokonywane adaptacje, przede wszystkim zwraca się uwagę na inkulturację tekstów liturgicznych.

oprac. Z.K.

REKOLEKCJE IGNACJAŃSKIE

**program
czerwiec-wrzesień '94**

Rekolekcje ignacjańskie pomagają rozpoznać wolę Bożą w swoim życiu i wzrastać w osobistej wolności i dyspozycyjności. Przeprowadzają one rekolektanta poprzez trzy kolejne etapy życia duchowego: oczyszczenie, oświecenie i zjednoczenie bazując na Ćwiczeniach Duchownych św. Ignacego Loyoli.

Dom Rekolekcyjny KALISZ

18 VI – 26 VI	I etap rekolekcji ignacjańskich
8 VII – 13 VII	Rekolekcje – Wprowadzenie w modlitwę
23 VII – 31 VII	II etap rekolekcji ignacjańskich
13 VIII – 21 VIII	I etap rekolekcji ignacjańskich
27 VIII – 4 IX	I etap rekolekcji ignacjańskich

Dom Rekolekcyjny GDYNIA

25 VI – 3 VII	I etap rekolekcji ignacjańskich
27 VIII – 4 IX	III etap rekolekcji ignacjańskich
24 IX – 2 X	I etap rekolekcji ignacjańskich

Wszelkich informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje
Ignacjańskie Centrum Formacji Duchowej
81-313 Gdynia
ul. Tatrzńska 35
tel. (0-58) 20-69-09